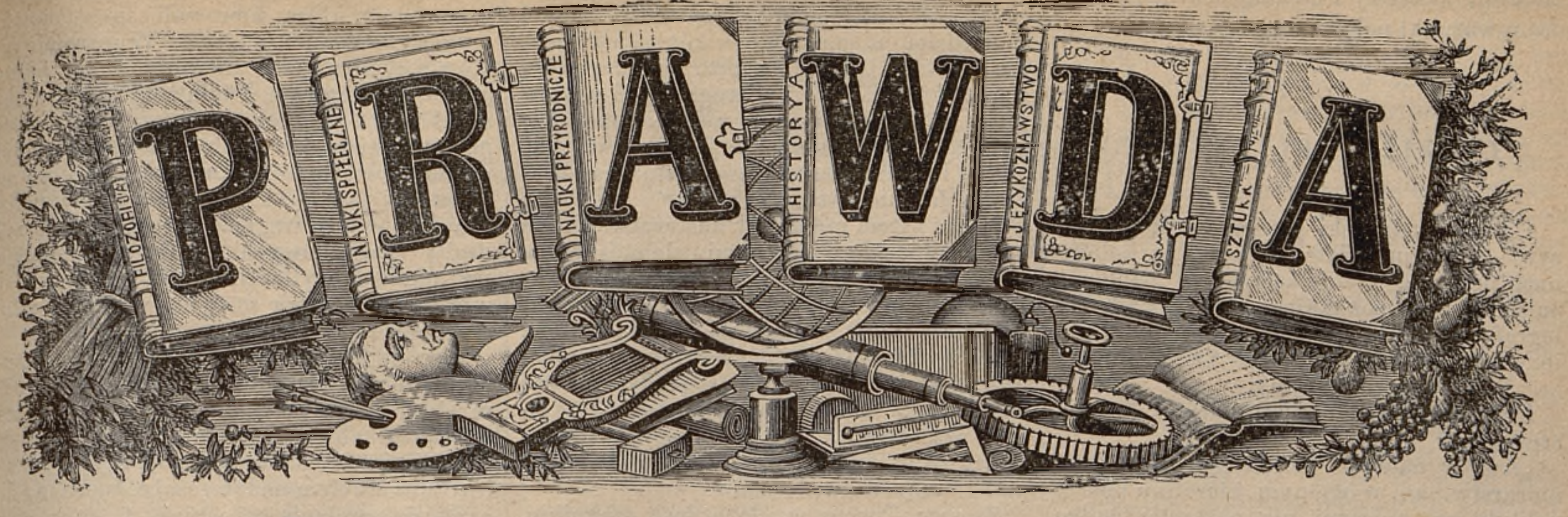
№ 26. Warszawa, dnia 29 (17) Czerwca 1889 r. Rok IX.



PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Szwajcarya i Niemcy. — Tydzień polityczny. — Chwile. I. W parku p. F. G. Brodowskiego. — *Życie społeczne*: Pedagogika na Wystawie pracy kobiet p. K. R. Żywickiego. — Ze świata IV. (Dokończenie) p. Egrota.— Powagi p. Ad. J. Cohna. – *Sprawy ekonomiczne*: Olbrzymie straty p. Drogomira. — *Badania naukowe*: Kartki naukowo-artystyczne.—Wynalazki p. W. N. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska. Juliusz Słowacki: Poezye, utwory dramatyczne i proza p. W. P.—Z Niemiec p. Ladawę.— Literatura ruska. W. Krestowski p. Zenona Pietkiewicza. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Od dnia 5 lipca r. b. Redakcya PRAWDY mieścić się będzie przy ulicy Marszałkowskiej (róg Żórawiej) pod nr. 95.

Do dzisiejszego numeru **Prawdy** dołączamy zeszyt dodatku za kwartał drugi.

Wraz z ostatnimi arkuszami **Antropologii** Tylora rozpoczniemy w następnym (wrześniowym) dodatku do **Prawdy** przekład

HISTORYI REWOLUCYI FRANCUSKIEJ

M. MIGNETA.

Książka ta, przedstawiająca okres dziejów od r. 1789 do 1814, kończy się na granicy epoki, od której rozpoczyna się wydana przez nas w roku zeszłym **Historya wieku XIX**. Dla czytelników więc naszych będzie ona stanowiła pożądaną łączność z tem dziełem i da im sposobność szczegółowego rozpatrzenia się w wielkim dramacie historycznym, którego setną rocznicę obchodzi obecnie Francya.

POLITYKA.

SZWAJCARYA I NIEMCY.

W logice rzeczy leżało to, że prędzej czy później między Niemcami a Szwajcaryą przyjść musi do ostrego zatargu. Nie sąsiadował jeszcze nigdy ogień z wodą zgodnie. Krańcowo odmienna natura i organizacya tych państw, z jednej strony drapieżny tygrys, z drugiej—pracowity i spokojny koń, ciągły spływ do kotliny szwajcarskiej wszystkich strumieni socyalizmu niemieckiego i tworzenie się w niej nurtów, podmywających grunt olbrzymich koszar politycznych, a wreszcie ustawiczne wymykanie się z mściwych rąk i chronienie do przyległego domu najrozmaitszych winowajców — wszystko to musiało oddawna drażnić Bismarka, tem bardziej, że mu dokuczało nie potężne mocarstwo, którego siłę mógłby uszanować, ale mizerna garść górali, których mógłby zgnieść jedną dywizyą swej armii. Nieraz wyglądał on jak tygrys, goniący kaczkę, która mu uciekła na staw a on musiał z brzegu wysłuchiwać jej drwin. Dziwić się tylko należy, iż dopiero sprawa Wohlgemutha, którego przylapano na gorącym uczynku wabia policyjnego, zbudziła drzemiące gromy w chmurach berlińskich. Burza powinna była spaść daleko wcześniej. Ale jakiż będzie jej wynik?

Jeżeli zagniewany kanclerz — jak to często zwykł czynić — nie przyczaił się i nie skoczy na swą ofiarę w porze i ze strony niewiadomej, jeżeli dziś już mamy ostateczny rezultat starcia, to przyznać trzeba, że Dawid szwajcarski bardzo buńczucznie postawił się Goliatowi pruskiemu i zgnieść mu się nie dał. Odgarnąwszy na bok kupę plew słownych, wyrzuconych z *Nordd. Allg. Ztng*, nie widzimy wcale poważnego zadośćuczynienia. Żądano naprzód cofnięcia zakazu przeciwko Wohlgemuthowi i uznania za nieprawne działań urzędników, którzy go schwytali i wymietli—rząd szwajcarski oparł się temu; wymagano, ażeby pozwolił u siebie tajnym agentom policyi niemieckiej tropić i sidlać swobodnie zwierzynę polityczną — i na to się nie zgodził. Zagrożono dokuczliwościami granicznemi, ale tu znowu wystąpiło z protestem Badeńskie, którego poddani, pozostający w ścisłych i rozlicznych stosunkach ze Szwajcaryą, ucierpieliby wielce na potarganiu stosunków. Myślano o odwołaniu z Bernu przedstawiciela Niemiec, ale i ten środek okazał się bezcelowym. Jednocześnie zaś prasa szwajcarska zaczęła przemawiać do swego potężnego sąsiada językiem, w którym wszystko można było dosłyszeć, prócz bojaźni. „Niemcy— powiada *Bund*— nie ograniczają się na wypadku z Wohlgemuthem, ale stawiają żądania, odnoszące się do całego naszego ustroju politycznego, przeczą zasadniczym prawom naszego państwa, naszej samoistności i niepodległości. Naturalnie poddać się temu nie możemy, ale postaramy się o wypełnienie naszych obowiązków międzynarodowych. Pragniemy z naszym sąsiadem żyć w najlepszych i przyjacielskich stosunkach i żałujemy, że Berlin daje nam uczuć swe niezadowolenie. Ale naród szwajcarski w poczuciu swych praw i w ufności dla swych instytucyj z zupełnym spokojem oczekuje spełnienia zapowiedzianych gróźb, dokądkolwiek one dążyć będą." Podobnie lub jeszcze energiczniej, a w każdym razie bez obawy odezwały się i inne pisma, rząd zaś zapotrzebował od narodu... pieniędzy na armię. I biedna, pracowita, o wojsku dotąd niemyśląca gromadka wyznaczyła kilkadziesiąt milionów na uzbrojenie, gotowa bronić swej niezależności. Na ciele Europy środkowej tylko ta jej drobina, Szwajcarya, nie była okryta pancerzem militaryzmu: teraz i ona musi się okuć.

Ale sprawa Wolgemutha, chociaż Niemcom nie zapewniła wygranej, oddziałała jednak na Szwajcaryę pośrednio. Mianowicie do Niemiec przyłączyły się dwa inne mocarstwa w żądaniu, ażeby ona wzmocniła czujność swego dozoru nad cudzoziemcami, którzy w niej szukają przytułku. Jakoż wyznaczono komisyę, która zajmie się wypracowaniem odpowiednich przepisów i ustanowieniem władz kontrolujących. Nie będzie to robota pozorna, gdyż od niej w znacznym stopniu zależy bezpieczeństwo Szwaj-

caryi. Przypuszczać więc należy, że rząd znacznie obostrzy i utrudni obcym przybyszom warunki pobytu u siebie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz austryacki przemówił do delegacyj — i mroźny wiatr przeleciał po kolumnach prasy, a giełdy zaczęły w popłochu zniżać kurs. I cóż takiego powiedział? Telegraf nie umie objaśnić swym zwięzłym językiem — czekamy gazet. Otrzymujemy i... Naprzód przeczytajmy.

Prezydentom delegacyj odrzekł Franciszek Józef:

„Ani w naszych stosunkach do innych mocarstw, ani w ogólnym kierunku naszej polityki zagranicznej nie nastąpiła *żadna zmiana*. W zupełnej zgodności z naszymi sprzymierzeńcami, rząd mój broni (steht ein) pokojowego rozwoju ciągle *niepewnego* położenia europejskiego, nie tracąc nadziei, że i nadal błogosławieństwa pokoju — itd.“ Poświęciwszy osobne wzmianki dwu państwom Bałkańskim, wyraził cesarz nadzieję, że „roztropność i patryotyzm serbów uchronią kraj od *poważnych* niebezpieczeństw.“

To wystarczyło dla rozsiania trwogi. Była ona tak dalece nieoczekiwaną, że występujący po cesarzu jego minister spraw zagranicznych, który zwykł mocniej wybijać wszelkie akcenty polityczne, niż monarcha, już z tej prostej przyczyny, że jego słowa nie są tak ściśle ważone, tym razem pośpieszył z uspokojeniem. Rzeczywiście, jeżeli pominiemy przestrogę dla Serbii, nie było w mowie Franciszka Józefa nic, dającego powód do pociągnięcia za sznur wielkiego dzwonu. Jak bowiem słusznie zaznaczyła jedna z gazet niemieckich, słyszeliśmy to samo w roku przeszłym. I wówczas cesarz austryacki, upewniwszy delegacye, że stosunki monarchii są dobre, dodał: „Jeżeli mimo to rząd mój w swej obowiązkowej trosce o ubezpieczenie naszych granic i rozwój naszej siły zbrojnej zmuszony jest żądać znacznych kredytów, przyczyna tego spoczywa głównie w *ciągłej niepewności* politycznego położenia Europy i w ustawicznem podnoszeniu sił militarnych i pogotowia wojennego wszystkich innych państw.“ Tak mówił Franciszek Józef w roku przeszłym, żądając nowych i dużych sum na armię, podczas gdy obecnie budżet wojskowy nie ma nowych wymagań—więc skądże popłoch? Do jednego z członków delegacyj miał rzec: „Istotnie prawda, że położenie jest niepewne, możnaby nawet powiedzieć niepewniejsze, niż poprzednio, ale — itd.“ Takie wszakże wyrażenia są naprzód co do swej wiarogodności wątpliwe, a co do znaczenia — nieokreślone. Nie potrzeba pytać monarchów, każdy wie, że odkąd i dopóki cała Europa stoi pod bronią, położenie jest „niepewne.“

Mowa zatem monarchy austryackiego nie świadczy wcale o zaostrzeniu się stosunków międzypaństwowych, ale natomiast przekonywająco świadczy o zaostrzeniu wrażliwości powszechnej w życiu pod ciągłą trwogą.

To wyczulenie się nerwów opinii publicznej jest już niebywałe, a pójdzie jeszcze dalej. Sam szmer słów twardych wszystkich przeraża. *Ave Bismark, morituri te salutant* za tę zmorę czasu, którą rzuciłeś na piersi wszystkich narodów.

Zresztą Europa wygląda dość spokojnie. Następuje pora wypoczynków i podróży. Cesarzewicz Następca tronu ruskiego przyjął udział w uroczystości jubileuszu rządów króla hanowerskiego w Stuttgarcie; niedługo cesarz niemiecki wyjeżdża na dłuższą wycieczkę do Skandynawii. Zapewne wkrótce ministrowie rozjadą się do wód — może też i postrachy wojenne ustaną.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PEDAGOGIKA
na Wystawie pracy kobiet.

Przed kilku tygodniami, pisząc o wystawie przemysłowej pracy kobiet, obiecałem, że wrócę jeszcze do niej powtórnie, ażeby zatrzymać się szczegółowiej nad działem czwartym, pedagogicznym. Spóźniłem się nieco, ale zrobiłem to celowo. Naprzód, wrażenia, otrzymane podczas jednej i drugiej bytności, zdołały przybrać postać wyraźniejszą, drobiazgi zatarły się, główne i zasadnicze rysy wystąpiły na plan pierwszy. Powtóre, chciałem doczekać przyznania nagród wystawczyniom; miałem bowiem nadzieję, że przysądzenie różnych dyplomów uznania i dyplomów zasługi pozwoli mi ocenić, o ile postępowanie specyalistek w zawodzie pedagogicznym godzi się z żądaniami publiki, w tym razie przedstawionej przez komitet sędziów. Doczekałem tej chwili, lecz nadzieje zawiodły mnie najzupełniej. Doprawdy, trudno mi znaleźć nić przewodnią, którą kierowali się sędziowie przy wyznaczaniu nagród. Wprawdzie po głowie chodzą różne przypuszczenia, jedno gorsze od drugiego. I tak, zdaje się, że komitet wśród różnych objawów działalności pedagogicznej szczególną wartość nadał przemysłowi kobiecemu, polegającemu na czynności pisania książek dla dzieci, położone zaś w tym względzie zasługi mierzył liczbą prac owych.... Różnych „zdaje się“ nie będę wyliczał, wspomnę tylko, że w żaden sposób nie są to chyba wskazówki, czego chce społeczeństwo.

Pozostaje więc pomówić tylko o wrażeniu, którego doznałem na wystawie przemysłu pedagogicznego, o ile on spoczywa w rękach kobiet. Czytelników będę prosił o pobłażliwość, albowiem tyle myśli, uwag i pytań a przytem nadzwyczaj różnorodnych, oczekuje przelania na papier, że doprawdy nie wiem, jak i czy wogóle poradzę sobie z niemi. Należałoby jeszcze poprosić panów pedagogów o przebaczenie, że będąc profanem, ośmielam się zapuszczać w zagadnienia, do których nie posiadam niby żadnego prawa. Nie zrobię jednak tego, przyznaję sobie bowiem podobne prawo wtrącania się. Z panem pedagogiem związani jesteśmy wzajemną, acz milczącą umową. On wziął jedno—np. nauczanie, ja—drugie, chociażby robienie butów. Jesteśmy u siebie na wzajemnych usługach, z prawem najzupełniejszem, aby nas zapytano, o ile wywiązujemy się z podjętych obowiązków. Zresztą, mówiąc o wystawie pedagogicznej, nie będzie mi zgoła chodziło, czy kobieta X., czy też inna jakaś Y., wystawiły lepsze okazy, lecz o wyszukanie dążności wśród pedagogicznej pracy kobiecej...

Czy nauczanie rzemiosł należy do działalności pedagogicznej? Czy sposoby, za pomocą których wtłacza się różnym Lolom i Maryniom wiadomości do głowy, należy wyłącznie uznać za wchodzące w zakres pedagogiki, ale środki kształcenia zawodowego Józków i Maniek w ochronkach już trzeba usunąć z pod tego zaszczytu? Komitet urządzający odpowiedział nieprzychylnie dla ochronek, jakkolwiek w dziale pedagogicznym umieścił wcale nieobiecującą grę wychowawczą nieobiecującej nauczycielki „Modniarstwo“ — chyba dlatego, że to jest zabawka. Mniejsza jednak o czyjeś w tym względzie poglądy. Ze śmiałością profana pozwolę sobie przenieść szafy ochronkowe do sali pedagogicznej i rozpatrywać w zestawieniu, chociaż być może, jakiejś pani X., piszącej książeczki dla dzieci w prześli-

---

CHWILE.

I. W parku.

Czysty, błękitny strop, w każdej cząstce iskrzący się i rozgrzany, obdarzał ziemię ciepłem. Spływało ono na rozbujałych falach, które, niosąc je, połowę rozlewały, czy gubiły, czy skradały. Oddech nieba upalny nie był, tylko łagodnie ciepły, tak miły, miły — jakby płynął z piersi, pachnącej szczęściem.

Na rozkołysane, powietrzne morze, wpływały niekiedy błędne żeglarki, wątłe, białe, obłoczne puchy i trwożliwie omijały olśniewająco jasną siedzibę słońca, nie śmiejąc spojrzeć w dobrotliwą twarz, której jeden cieplejszy uśmiech mógł je roztopić.

Ziemia chciwie piła ciepło, które gubił i upuszczał rozbawiony wiatr, a drzewa, trawy i kwiaty chwytały jego powiew tak łakomie, jakby go chciały rozkraść.

Wiatr śmiał się i każdemu z rąk umykał. Lipom targał głowy, a gdy gniewne zsypywały nań pyły kwiecia, on śmiał się kontent, że będzie pachniał. Brzozy poufale za obwisłe włosy pociągał i śmiał się, patrząc, jak fałszywe płaczki ze złością układają napowrót kędziory swoje w posępne sploty i udają dalej smutek.

Trawom złośliwie szeptał: „Skoszą was,“ dmuchał na nie wonią siana, którą na łące jakiejś ukradł, i kazał się wszystkim pokładać, udając, że je ścina... Kwiaty na łączkach pogardliwie obwąchiwał: „Nie chcę waszej woni — nieprzyjemna, kupuję teraz u lilij, goździków i róż“ — szydził. Motyle spędzał z drogi, muchy potrącał, małym ptakom piorza w locie rozdmuchiwał.

Nawet cudzoziemskich krzewów nie szanował... Na tuje ciskał zwiędłymi listkami akacyj, chorowitą palmę uderzył w głowę, z cyprysów się naśmiewał: "Nie takie widziałem, a zresztą, co wy jesteście? Wynajęte, grobowe stróże; idźcie na cmentarz!"— wołał i uciekał na pomarańcze, a cyprys kiwał za nim posępnym tułowiem.

Przeleciał po powierzchni wody, dmuchnął łabędziom pod skrzydła i spadł na kwiatowe klomby. Tam pachniało tak, że ucichł na chwilę i pił słodką woń lewkonij... Ociężał, upił się, chciał zasnąć — ale porwał się, chmurę pyłu podniósł, zakręcił nią, cisnął na drzewa i kwiaty, i zgubiwszy wszystkie wonie, które niósł — uciekł, nie wiadomo dokąd.

Ciepło poczęło spływać po nieruchomych cząsteczkach powietrza. Rozrzucone wonie nieruchomie zawisły, ciężkie zapachy lewkonij, gwoździków i róż opadły na ziemię, nad nimi czuć było kwitnącą lipę, wiatr wysoko w powietrzu zawiesił jej zapach słodki, pieszczotliwy i skromny.

Na drzewach liście bezwładnie zacieżyły ku dołowi, powierzchnie ich piły słońce, lecz trunek ten zabierał im siły i suszył je, tylko pomarańcze, cyprysy i wynędzniałe palmy chciwie pochłaniały upał i wciąż wydawały się blizkiemi śmierci.

Nieruchome, u końca niewidzialnych nici wiszące, z rozpostartemi skrzydłami, szmaragdowe muchy, cicho wypatrywały nad łączką zdobyczy; zniechęcone — odbiegały nagle i szybko. Motyle ociężałym, nieporządnym lotem miotały się po powietrzu, jak listki bez celu unoszone wiatrem, lecz od czasu do czasu wpadały w trawy i szperały między niemi długo. Przelatywały z drzewa na drzewo lub z gałęzi spadały niekiedy szczypty puchu szarego, brunatnego, popielatego lub złocistego i ginęły też w trawach... Te same śmieszne małe puchy czy ptaki, uczepiwszy się gałązki jakiej, nadymały gardziołka i całe się trzęsły, rozdęte przenikliwym głosem, który się z nich dobywał... Był to albo jeden, do nie-

cznej oprawie, nic bardzo podoba się to są-siedztwo... Lecz, jeżeli już raz ośmieliłem się naukę zawodową, udzielaną w ochronkach, zaliczyć do pedagogiki, uczynię to samo względem tak zwanych „szkół rzemiosł dla kobiet." Stanowią one grupę samą w sobie. Kiedy bowiem w ochronkach i ogródkach freblowskich dziatwę tresują według różnych recept, przy układaniu których nie pytano się maleństwa o zdanie, w szkołach dla kobiet same uczenice mówią, czego sobie życzą. Czegóż więc? Przedewszystkiem jednak rozpatrzmy, kto tu uczęszcza. Obowiązek płacenia za naukę jest dostatecznym dowodem, że pobierające kształcenie zawodowe pochodzą z warstw średnich. Widzieliśmy, że obecna wystawa jest zbiorem haftów, koronek i malowania na porcelanie; tymczasem w nauce rzemiosł uderza nas zgoła odmienny widok. O haftach i podobnych pańskich wybrykach tu prawie ani słychać. To już wskazuje, że wystawa jest daleką od przedstawiania rzetelnego stanu pracy kobiecej. Krój przeważa w nauce. Trudno mieć pojęcie o tłumach, które rzucają się na to pole zarobkowania. Niektóre podręczniki liczą po 10 wydań, a z *Katalogu* mogliśmy się przekonać, że istnieje ich kilka. Jedna i druga ze szkół kroju zapewniają, iż w krótkim względnie czasie wypuściły po kilka tysięcy uczennic! Zresztą najlepsze świadectwo, na jakie pola zwraca się kobieta, wydał jeden zakład pedagogiczny tego rodzaju, umieszczając krótkie sprawozdanie ze swej działalności. W przeciągu lat 10 ukończyło go 1,067 kobiet, w tej liczbie 33% zajęło się nauką kroju, 14,5% introligatorstwem, 6% wyrobem krawatów i — tylko 0,8% koronkami i 0,6% heliominiaturami. Zestawmy ten fakt z ogólnym charakterem wystawy, a ujrzymy, że kobiety warstw średnich wstydzą się przyznawać, iż pracują nie w zawodach zbytku... Mniejsza jednak o to. Ważniejszą jest nieliczność zawodów, uprawianych przez kobietę. Tysiące idą na naukę kroju, mimo małej wydajności pieniężnej zawodu i niezmiernego współzawodnictwa. W nowszych czasach zaczęły się one zwracać ku introligatorstwu lub buchhalteryi, lecz tylko ku temu. Przypominają trzodę, w której gdy jedna owca skoczy, inne idą jej śladem... Wróćmy jednakże do właściwej pedagogiki, mającej to do siebie, że stoi ponad wymaganiami życia i nie przykrawa nauki do żądań społecznych, ale do ułożonych inną drogą recept.

Jeden dowcipny publicysta-socyolog usiłował dowieść, że dla zrozumienia pożyteczności naszych metod i sposobów wychowawczych należałoby cofnąć się czasami bardzo daleko, chociażby do okresu barbarzyńskiego. Weźmy chociażby kołyskę. Była ona bezwarunkowo pożyteczną w dalekiej dzikości — nie dla dziecka, lecz dla rodziców, kiedy jeszcze nie znano innych środków hypnotyzowania dziatwy i oswabadzania starszych od krzyku. Podobnie niektóre powijaki znajdują najzupełniejsze usprawiedliwienie swego obecnego bytu w obowiązku noszenia niemowlęcia przez dziką matkę na plecach. Z podobnego stanowiska wypada rozpatrywać naukę praktyczną w ochronkach, gdyż inaczej narazilibyśmy się na najzupełniejsze niezrozumienie działających tu pobudek. Otóż, dość przypatrzeć się szafom, wystawionym przez dobroczynność, a rzuci się nam w oczy obfitość drobiazgów bez pożytku praktycznego lub przedmiotów zbytku. Niektóre ochronki popisały się jedynie robotami koronkowemi i szydełkowemi. Wiadomo jednakże, że są to zawody najgorzej opłacające się, gdzie fabryka zaczyna swem współzawodnictwem zabijać wyroby pracy ręcznej. Ażeby zrozumieć pobudki tego postępowania, należy cofnąć się chociażby do roku 1845, kiedy naukę koronek wprowadzono w ochronce miasta Piotrkowa. Były to czasy stateczności ekonomicznej; gospodarka kapitalistyczna nie wytworzyła była niepewności o jutrzejszy kęs chleba, rusztowanie społeczne wznosiło się trwale i mocno na podstawie pańszczyznianej, kobieta rzadko wychodziła zarobkować i jeżeli to czyniła, to na drogę rzemieślniczą w zakresie uświęconym swojską lub obcą tradycyą — haftów i koronek. Od tego czasu runęła pańszczyzna, zapanował wolny kapitał, pewność jutrzejszego zarobku zginęła, fabryka ruguje rzemiosło, ale dobroczynność wciąż jeszcze żyje marzeniami z przed lat 40. Zagadka została rozwiązana...

Opuśćmy przecież przemycane pole pedagogiki zawodowej w ochronkach i zwróćmy się do sali „pedagogicznej," w całem znaczeniu tego słowa... Tyle tu widać przedmiotów, że na razie zostajemy ogłuszeni. I książki, i okazy botaniczne, mapy, rysunki, typy ubrań włościańskich, modele wsi całych... Przedewszystkiem rzucają się w oczy prace dwóch wystawczyń, jednej, która daje mapę poglądową Europy, drugiej— plan wioski. I gdyby trzeba było dowodu na zbicie uprzedzenia, że kobieta w pedagogice jest zawsze biernym naśladowcą, moglibyśmy powołać się na pomysł wspomnianej mapy, ale tylko na pomysł. Wykonanie bowiem nastręcza olbrzymie trudności techniczne w wymaganiu olbrzymiej przestrzeni; ta bowiem, którą przeznaczyła wystawczyni, mimo swego ogromu, stanowczo jest jeszcze za mała. Coś podobnego, chociaż w innym rodzaju, można powiedzieć o planie wioski; zamiar dania dziecku wyobrażenia o wsi, sposobach budowli, wewnętrznem życiu w chacie, zasługuje na uznanie, lecz wielka szkoda, że wykonawczyni nie przyjrzała się architekturze wioskowej... Nie potrzeba rozglądać się, ażeby zrozumieć, że jesteśmy wśród sposobów pedagogicznych, przeznaczonych dla dziatwy warstw mniej lub więcej zamożnych społeczeństwa, oraz że mamy przed sobą okazy tak zwanej metody poglądowej nauczania.

Pierwiastkowo miałem zamiar szczegółowo pomówić o wystawionej literaturze dla dzieci; w tym celu wziąłem do przejrzenia kilka książek. W jednej, *Ze szkoły życia*, znalazłem szerzenie klasowych przesądów i uprzedzeń. Autorka dochodzi niemal do tego, iż każdego pracującego fizycznie malca, jeżeli ten nie uzbiera groszy i nie wyjdzie na kapitalistę, uważa za nicponia... W kilku innych, zakroju historycznego, spotkałem hymny na cześć wzajemnego mordowania się ludzi pomiędzy sobą. Niebawem jednak zauważyłem, że chcąc pisać o literaturze dla dzieci i pracy kobiet w tej mierze, ulegam jedynie ideom obcym. Czyż można mówić o działalności kobiety pod tym względem, nie zestawiając jej chociażby ogólnikowo z pracą mężczyzn? Zrobię zatem uwagę, że przeglądanie wystawionych książek dziecinnych natchnęło mnie myślą rozejrzenia się w odnośnej literaturze, o ile ona służy interesom już nie społecznym, lecz wprost klasowym i przejdę do ocenienia okazów metody poglądowej i pomówienia przy sposobności o naszej freblowszczyznie. Wiem, że są to Benjaminki naszego dziennikarstwa, które miewa tylko pochwały, jeżeli wypadnie kiedykolwiek poruszyć te przedmioty, lecz mimo to ośmielę się odezwać z mniejszem uwielbieniem. Zresztą, wystawa niewiele daje wskazówek w tej mierze. Nadaremniebyśmy poszukiwali, czy jakaś pracowniczka na tem polu nie wystawiła czasami całokształtu swoich wykładów poglądowych lub sposobu prowadzenia całej szkoły. Nie, tego nie uczyniono. Do popisu wysłano tylko pojedyncze przedmioty, np. figury do łapania piłki, okazy roślinne... Mimowoli nasuwa się pytanie, czy czasami zakłady nie wystawiły wszystkiego, co posiadają najlepszego i czy po za wystawą nie ukrywa się zupełne ubóstwo? Naturalnie, wypowiadam przypuszczenie, którego na razie nie mogę sprawdzić.

---

skończoności powtarzany dźwięk, albo jedna zwrotka, zawsze tak samo zaczynana i kończona.

Nad ciemno-zieloną i, zdawało się, że bezdenną powierzchnią strumienia płakały, bez łez i bez głosu—jesiony, graby i wierzby, i w smutku zdawało się im, że toną w wodzie, rzucając w nią po kolei ciemne pnie, szmaragdowe liście i uczepione do nich szmatki błękitu, a woda nie brała im nic, tylko na listki ich odrzucała zmienne, drżące blaski świateł, których pełne było jej łono... Tu błąkały się jeszcze resztki chłodu.

Lecz niebo oddychało już żarem, słońce ognistą pieszczotę słało ziemi, a w parku zimno było tylko jednym posągom.

One były białe i nagie. Na ich łona padała taka jasność, jakby słońce chciało je roztopić i wessać ich piękność, tak, jak to czyni z białymi obłoczkami, lecz nie zdołało ich nawet rozgrzać. Młode dziewczęta na piedestałach kurczyły się i tłumiły dreszcz, młodzieniec z harfą w ręku, znękany, głowę opuścił, skulone satyry cierpko się uśmiechały, boginie i bogowie byli smutni. Wszystkich głowy zwrócone były do słońca, lecz w oczach otwartych a ślepych nie świeciły błyski radości, jaką czuły dzwoń, kwiaty, owady, ptaki.

Były ciche i bez ruchu, tem wymowniejsza biła od nich skarga. Dzieci, piękniejsze od jutrzenki, miały pęknięte czerepy, chłopcy, silni jak lwy młode, pokazywali okaleczone ręce i nadłamane nogi, bogom brakło czasem ucha, a Diana nie miała nosa. Była tam marmurowa dziewczyna, która stojąc nad wodą wplatała we włosy róże; czcił ją cały park, gdyż piękniejszej istoty nie podobna było wymarzyć. Na jej piersiach zakrzepły strugi brudnej wody, zdawało się, że jej skóra biała i połyskliwa drży ze wstrętu pod tym brudem. Inna zastygła w namiętnym tańcu, lecz jednej stopie jej brak było palców, na których wspinając się, miała wykonać najlżejszy i najwdzięczniejszy ze swych ruchów. Płakały nad nią drzewa i przykrywały ją grubym cieniem swych sklepień...

Słońce ich nie cieszyło, ciała ich piły jasność, lecz one były zimne, zniechęcone, smutne...

Nagle od wejścia rozległo się ciche chrząkanie satyra, który tam czuwał — stary i obumarły. Wiatr, niewolany, wpadł w tej chwili, pochwycił chrypliwy głos i w szeleście liści rozniósł go po parku. Był to znak, że ostatni ze świątecznych pijaków wyszedł trzeźwić się, czy upić lepiej — i że park na chwilę, na jedną chwilę będzie pusty, i niczyje oko wnętrza jego nie śledzi.

Wtedy młodzieniec z harfą podniósł głowę, uśmiechnął się z półdziecinną radością i trącił struny...

Park zamarł, wiatr legł na powierzchni wody i nawet łabędzi nie drażnił. Olbrzymie oko słońca błysnęło żywiej i zdawało się, że oblicze jego niżej się nachyla, a oddech staje się goręcszym... Głębokie westchnienie wzbiło się ku niemu, niosąc na skrzydłach przenikliwie smutną pieśń uwięzionych:

„O, czemuś oderwał nas od twego łona? Czy ci nie żal własnych cząstek? Czy nie świeciłyśmy dość pięknie i czysto? Kazałoś nam krążyć dokoła głów ludzkich, pozwoliłeś, by plugawe ręce nas pochwyciły, na twój rozkaz oblekłyśmy te nędzne formy! I patrz, kto nas czci, kto kocha, kto odgaduje? O, weź nas, weź, weź!..

Zimne i oszpecone kamienie świeciły w tej chwili słoneczną jasnością i odzyskały nieskalaną piękność i czystość. Członki ich były gibkie, ruchy niewysłowienie wdzięczne; oczy, utkwione w słońcu, płonęły myślą i zachwytem, wilgotne usta drgały, przepuszczając słowa błagalne i piersi dyszały wzruszeniem.

W braku całokształtu metody poglądowej, zmuszony jestem do zestawienia pojedynczych szczegółów. Przyznam się, daje ona nieszczególne pojęcie o naszej nauce poglądowej. Najprzód, jak tylko weszliśmy do sali wystawowej, uderzyła nas jakaś jednostajna stereotypowość. Wszędzie botanika, i jeszcze botanika. Zoologia i w ciągu dalszym mineralogia jakoś zupełnie zatonęły w tym oceanie roślinności zasuszonej. Ma się rozumieć, o różne zielsko łatwiej, niż o co innego; lecz wątpimy, aby to było z pożytkiem dla dziatwy. Następnie ciekawą jest rzeczą dobór przedmiotów do nauki poglądowej. Można się poprostu założyć, że im przedmiot jakiś jest powszedniejszy, tem częściej pokazywany dzieciom. Znajdziemy tu i kluczyki, i monety miedziane... Wreszcie niemile razi jeszcze jedna okoliczność. Oto sztuka zastępuje życie. Nasza nauka poglądowa jest najzupełniej oderwana od przyrody, której się obawia i której wprost nie chce znać. Trzy czwarte przedmiotów, naklejonych na tablicach, lub przedstawionych na rysunku, można zobaczyć, zrobiwszy kilka kroków za rogatki; niektóre zaś, jak krowę, można obejrzeć, nie czyniąc nawet takiej podróży. Zaiste, przykre uczucie ogarnia widza, kiedy pomyśli, że maleństwo winno jedynie z rysunku znać rzeczy, które z łatwością względnie niewielką oglądać mogłoby w naturze, tem bardziej, że ze wskazówek metody poglądowej korzystają dzieci rodziców zamożnych, od których nauczycielka śmiało zażądać mogłaby kilku kopiejek miesięcznie na tramwaj do rogatek dla pokazania przyrody rzeczywistej, drgającej życiem i ruchem, zamiast podstawiania na to miejsce malowanych i martwych okazów.

Usiłowaliśmy, na podstawie wystawy, skreślić charakter naszych zakładów freblowskich. Szczupłość jednak okazów, a raczej wysyłanie jedynie cząstki środków wykładowych stawało temu na zawadzie. Całokształt postępowania pedagogicznego starannie schowano, przedstawiono tylko okazy zbytkowne. Sądząc z nich, możnaby pomówić odpowiednie zakłady o bezmyślne zastępowanie przyrody przez sztukę — nawet kiedy tego okoliczności nie wymagają. Oglądając mnóstwo okazów botanicznych, znowu dochodzimy do podejrzenia, że czasami poglądowość wychwalana bywa tylko reklamą. W każdym jednak razie jesteśmy wrogami tej nienaturalności, która zamiast wózka ze zbożem lub mąką, dziatwie pokazuje jakieś 10 ziarnek lub naparstek mąki w miniaturowym wózeczku, przyklejonym na papierze... Zresztą, inaczej być nie może, gdzie na pedagogikę patrzy się tylko jako na źródło zarobkowania bez obowiązku zawodowych studyów w tej mierze. Z modnej poglądowości bierze się tylko to, co może służyć za reklamę. Znam np. osobiście jedną kierowniczkę ochronki, rozwieszającą u siebie roślinne okazy, ale nie posiadającą najmniejszego pojęcia o metodzie dźwiękowej w nauce czytania. Stereotypowe naśladownictwo — oto ostatnie słowo, jakie wynieśliśmy z wystawy pedagogicznej. Twórcy metody poglądowej chcieli za jej pomocą uzupełnić naukę czerpaną z wzorów życia, swojscy naśladowcy a raczej naśladowniczki dążą do zastąpienia samego życia przez poglądowe, martwe okazy.

I cóż na to wszystko powiedział komitet sędziów? Czy zwrócił uwagę na stereotypowość, wystawianie monet i kluczyków, rysunki krów, zamiast pokazać żywe stworzenia? A może uwzględnił tę okoliczność, iż żadna z wystawczyń nie przedstawiła całokształtu używanej metody pedagogicznej, lecz podała tylko skrawki? Nie! Zajął się on działaniem arytmetycznem — przeliczenia, która dała więcej okazów, przyczem z góry wprowadził pewne rozróżnienie jakościowe, mianowicie wartość największą nadał producentkom zadrukowanego papieru, lubo i w tym razie nie przeniewierzył się arytmetycznej skali oceniania wartości...

K. R. Żywicki.

ZE ŚWIATA.

IV.

(Dokończenie).

Czekałem z kroniką na echa jubileuszowe, ale jak wiecie, echa były dosyć słabe: na pierwszym planie stały równocześnie programy końskich wyścigów i nagrody Derby, w Londynie, Paryżu, Wiedniu, Berlinie, Medyolanie. Zresztą akt sprawiedliwości, dokonany na Campo dei Fiori, przekształcił się na cokolwiek familijny akt zemsty, przy którym zabrakło miejsca dla entuzyazmu narodów, chcących święcić tryumfy postępu; samo to wołanie o prawo postępu nie może dziś robić wrażenia w zachodniej Europie, jak nie robią wrażenia słowa Schillerowskiego Don Karlosa: „Sire, geben Sie Gedankenfreiheit.“ Może się jednak mylę: może jeszcze są miejsca na ziemi, gdzie Don Karlos przedstawiałby wdzięk nowości. To jednak pewna, że gdy ktoś za lat tysiąc będzie czytał kroniki naszych czasów, zdziwi się niepomału, że palono ludzi za to, że wypowiadali głośno takie śliczne słowa: „Czas wszystko bierze i wszystko daje; każda rzecz się zmienia, żadna się nie zatraca“; albo: „Bierzmy oczywistość za najwyższego sędziego prawdy, a jeśli oczywistości zabraknie, jeśli zmysły i rozum są nieme, umiejmy wątpić i czekać.“

Nie ta jedna przyczyna była powodem oziębłości dla wielkiej postaci Giordana; chcąc godnie go uczcić, trzeba było wprzód dokładnie go uczcić, co jest rzeczą trudną: dzieł jego istnieją tylko włoskie wydania, a dzieła te pisane językiem oryginalnym, złożonym z gwary neapolitańskiej i filozoficznego żargonu, przykrojonego w słownictwie do nowych i dziwnych pomysłów autora; tak: Wieczerza popielcowa; O cieniach idej; Przyczyna, pryncypium i jedność; Nieskończoność, wszechświat i światy; Wygnanie tryumfującej bestyi; Kabała konia Pegaza; Heroiczne szały. Stąd to w artykułach wstępnych prawie wszystkich europejskich dzienników mogliście czytać nieodmiennie frazes następujący: „Nie kuśmy się o dokładne przedstawienie teoryj wielkiego myśliciela,“ albo: „Nie tu pora rozwodzić się nad doniosłością systemu męczennika z Noli“ itd. Zresztą i najniższy sługa wasz, choć z konieczności studyował te ciężkie dyalogi, powtórzy również: „Nie tu pora...“

Uroczystość cała, jak rzekliśmy, była przedewszystkiem polityczną demonstracyą: stąd owe 1972 sztandary, 66 lóż massońskich, ów pochód dawnych skazańców politycznych państwa kościelnego, wreszcie mowa deputowanego Bovio, podniosła, szlachetna i głęboka, lecz nie mogąca się obejść bez dokuczliwych aluzyj w następującym ustępie.

„Mniej boli papiestwo dzień 20 września *), niż 9 czerwca; tamta data była zakończeniem, ta jest początkiem; wtedy Italia weszła do Rzymu, celu swej drogi; dziś Rzym poświęca religię myśli, początek nowej ery. Nie przyjdą już nowe bożyszcza domagać się czołobitności tu, gdzie brzmią jeszcze żywo słowa Chrystusa: „Po mnie nie będzie proroków.“ Tu spalono Giordana Bruno, a popioły nie przebłagały dogmatu; tu zmartwychwstaje, a religia myśli nie żąda zemsty; z tego pomnika nie podniesie się głos nienawiści. Nie jest szczęśliwy ów starzec, ofiara, większa niż Bruno, swego dogmatu, który mu pożera zdrowie,

*) Zniesienie państwa kościelnego.

A oblicze słońca nachylało się ku nim coraz niżej, oko jego zaszło różową mgłą, czy łzą, a usta słały im palące pocałunki, lecz żadne słowo nie przywołało ich...

* * *

Łączki już drzemały, gdyż słońce przestało na nie patrzeć, a drzewa rzuciły im lekkie przykrycia. Wiatr kołysał się wciąż na drobnej fali. W głębi wód obmywały się nadbrzeżne gaje i posągi. Łabędź, wolno płynąc, żłobił dwa połamane na falach i odbiegające od siebie ślady. W powietrzu nie czuć było woni, lecz ciężką i gorącą duszność.

Święto i pogoda rozgrzebały wielkie mrowisko ludzkie, które ku schyłkowi dnia rozpełzło się po parku, napełniło go gwarem i zalało pstrocizną barw.

Po białych dróżkach i cieniach, które na nich spoczęły, deptały nogi ludzi. Dziwne było to stado: dziesiątki, setki, może tysiące istot chodziło w niewiadomym celu tam i napowrót, obojętne dla tego, co je otaczało, znudzone, na pół senne.

Tłum ten poruszał się, lecz nie był wolny, nakrywała go olbrzymia siatka, którą sam dla siebie powiązał i sam nią się oplątał. Tę siatkę wlókł za sobą, gdyż w niej tylko było mu dobrze. Przynieśli z sobą zapach swego mrowiska i pamięć o nim, to wszystko, co mieli.

Leniwiej od łabędzia płynęły z ust ich słowa, pędzone przez myśli, które mniej śladu na duszach ich zostawiały, niż łabędzie skrzydło na wodzie. Uciekły ich powszednie troski, zabiegi, kłopoty, i w głowach tej rzeszy nastąpiło milczenie pustki, w którą napływał tylko gwar obecności tłumu. Tłum ten siebie potrzebował. Przyszli tu, żeby oglądać siebie, patrzyli tylko na siebie, słuchali tylko siebie, myśleli o sobie i siebie tylko czuli.

Każda cząstka tego tłumu, rzucona między drzewa, kwiaty, ciszę, słońce i posągi— czułaby się osamotnioną, nieszczęśliwą, ogłupiałą, bezradną. Skupione—sądziły, że że są światem, dla natury słońcem, a ona dla nich podłogą.

Szły pary, a za parami jeszcze pary, i jeszcze; szli mężczyzni, kobiety i dzieci, i wszystkim zdawało się, że przynieśli do parku blask i życie. A przynieśli tylko nudę.

Szli, wlokąc na sobie płachty śmiesznych i wstrętnych barw, które plamiły kobierce traw, zieleń gajów i białość posągów.

Szli i spojrzeniami obrażali nagie posągi.

Szli, uśpiwszy myśli i mowę, a idąc napychali usta. Żuli mężczyzni, i kobiety, i dzieci; odgłos pracujących szczęk rozłakomił łabędzie i zwabił je ku brzegom...

Szli, jedli, siadali i — nudzili się.

Ich oddechy rozpostarły nad parkiem ciężki, trujący zaduch, który ścierał świeżość z liści, kwiaty powlekał szarzyzną, uciszał głosy ptasząt, gasił białość posągów a na niebo zarzucił zadymioną krepę...

W tem ocknął się wiatr i, ujrzawszy tłum, szyderczo się zaśmiał w nadbrzeżnym gaiku. Wzleciał do góry, i rozkołysawszy fale powietrzne, cisnął na nie olbrzymią chmurę, która oczom ludzkim ukazała się płynąca z zachodu. Rosnąc ku górze, barwiła się na swym grzbiecie i skrajach posępnym, płowym blaskiem. A wiatr powrócił, niosąc mrok, i zawiesił go nad parkiem.

Potem zahuczał po wszystkich drzewach, przeleciał po drogach, podejmując śmiecie, liście i pył, a kurzawą sypiąc na ludzi; dmuchnął na wodę i rozsypały się po niej drobniutkie, szybko biegnące zmarszczki... W zapale byłby poprzewracał cały park, lecz wspaniały dźwięk rozległ się z pod zaciemnionego stropu i wolno popłynął nad ziemią. Przed nim uciekały krople wody i szybko spadać poczęły. Wiatr uciszył się i tylko latając po wierzchach drzew, ze śmiechem patrzał na uciekające tłumy.

* * *

miotając się w piersi włoskiej przeciw ojczyznie włoskiej...“ itd. Wyrazy bolesne, a jednakże o ileż szlachetniejsze, niż obelga niemieckiego mędrca, niemającego przytem żadnego prawa do urazy!

Pomnik, dłuta Hektora Ferrariego, opisywałem wam już zeszłego roku; dopełnię ten opis kilkoma szczegółami: Płaskorzeźby na cokole przedstawiają trzy momenty z życia Brunona: 1) publiczną lekcyę w auli uniwersytetu oksfordzkiego; 2) skazańca przed sądem Inkwizycyi; 3) spalenie. W ośmiu medalionach umieścił rzeźbiarz osiem portretów ludzi, których dzieje postępu zwą swymi męczennikami. Jest tam Wikleff, wypędzony z Oxfordu jako heretyk, Huss, spalony 1415 r.; hiszpan Servet, spalony w Genewie 1553, ofiara kościoła reformowanego; Pietro de la Ramée, zamordowany przez fanatyków, trzy dni po rzezi św. Bartłomieja 1572 r.; Palcario, spalony w Rzymie 1570 r.; Sarpi, prześladowany w Wenecyi; Vanini, spalony w Tuluzie 1619 r.; Campanella, torturowany po siedemkroć, włóczony po 50 więzieniach, przepędzający tam 27 lat życia.

Taka ponura, kamienna wymówka, stanęła tuż pod bokiem papieskiego kancelerstwa, w okolicach Tybru, a dośćby tylko wyciąć jedną część dzielnicy, co się przy obecnem burzeniu starego Rzymu rychło stać może, aby widziano ją z okien Watykanu. Wtedy Rzym stałby się papieżom do pobytu nieznośny i musieliby może po raz drugi zakładać stolicę w Avignonie.

Przeciwdziałając entuzyazmowi świętujących tłumów, oczerniały pisma klerykalne włoskie figurę Giordana, zowiąc go rozpustnikiem i zbrodniarzem i powołując na świadectwo komedyę jego p. t. *Lichtarz* (*Candelajo*). Właśnie przedstawiono ją z okazyi jubileuszu w teatrze *Metastasio*. Są w niej istotnie sceny i dyalogi, przy których potrzeba zatykać sobie mocno oczy i uszy, ale zupełną nieznajomość dramaturgii włoskiej XVI w. zdradza ten, kto w niej żąda przystojności i morału. Toć bezecniejszą komedyę napisał i wystawił kardynał Bibienna przed papieżem Leonem X-ym i Izabelą d'Este w teatrze Watykańskim: kochliwi starcy, rajfurzy i kurtyzany składają się w niej na arcynaturalistyczny świątek.

Komedya Giordana Bruno, jeden z ostatnich utworów zepsutego smaku Odrodzenia, jest raczej olbrzymią satyrą tak na sztukę dramatyczną, jak na stało w niej typy: kochliwego starca, alchemika i pedanta; akcya, niczem niezwiązana, wykazuje dla każdego z nich osobną intrygę, morał zaś w niej ten sam, co wszędzie: że głupcy biorą basy. Pustego dowcipu i głębokich myśli pełna, komedya ta nie figuruje prawie nigdzie w historyach literatury, zarzucona przez długi czas wskutek surowych zakazów Kościoła wraz z innemi dziełami nolańczyka; niedawno wydano ją na nowo; kto ją przeczyta, przyzna, że utwór ten godzien stanąć obok *Mandragory* Machiavela.

Egrot.

POWAGI.

Któż nie zna ich potęgi, zaćmiewającej i przygniatającej umysły; któż choć raz w życiu nie zachwiał się pod ich naciskiem; któż wreszcie na widok uroku, jaki roztaczają dokoła, nie zapytał sam siebie: Jak to być może, aby jedna istota ludzka tak całkowicie, tak niepodzielnie zapanowała nad drugą? Jakie przyczyny składają się na wywołanie owej zasadniczej nierówności, która sprawia, że podczas gdy jeden człowiek wyniesionym zostaje do wyżyn niedościgłych, drugi, może temi samemi obdarzony skłonnościami, zepchnięty jest na najniższy szczebel zależności?

Pytaniami temi zajął się świeżo dr. Paweł Giżycki, wykładający filozofię na uniwersytecie berlińskim, a poświęcona ich rozbiorowi książka jego zasługuje na uwagę szerszego ogółu tak ze względu na logiczność wywodów, jako i na wytworność i przejrzystość formy *).

Giżycki określa powagi, jako napotykane często w przebiegu dziejów osobistości, sterczące ponad milionami innych, które żyją niepostrzeżenie i giną nieznane, osobistości, które samą siłą słowa swojego umieją oddziaływać na popędy nietylko swych ziomków, ale nieraz i znacznej części ludzkości.

Osobistości te, jak twierdzi, powielekroć wpływały na sposób myślenia i działania wielkich gromad ludzkich i kierowały niemi w miarę upodobania. Znaczenie ich jest kluczem do wielu ruchów i przewrotów w życiu tak politycznem, jak i społecznem i umysłowem. Nie wyrobiwszy sobie poglądu na czarodziejski niemal pochód owych potęg, nie zrozumielibyśmy historyi niejednego narodu, niejednego stulecia.

„Jak wzrok żmii — mówi G. — unieruchomia ofiarę i niezdolną ją czyni ani do ucieczki, ani do obrony — podobnie oszołomiony, zwyczajny śmiertelnik stoi przed obliczem powagi. Rozwaga jego omdlewa, krytyczny jego rozum popada jakby w letarg, a nawet zmysły jego przestają przynosić mu odbicia świata rzeczywistego. Widzi on, co każe mu widzieć powaga, słyszy, co mu ona słyszeć każe. Zapatrywań jej żadnemu nie poddaje rozbiorowi, nie usiłuje nawet zastanawiać się nad wzajemną ich zgodnością logiczną lub związkiem, nie wnika w ich myśl istotną, nie wymaga idei dających się ująć, poprzestaje na formułach, bez sensu, na wyrazach i znakach niezrozumiałych. Przysięga na słowa, sam nie wiedząc, co oznaczają i na wszelkie, choćby w najlepszej myśli podjęte próby rozjaśnienia ich tajemnic patrzy z oburzeniem i odrazą, jako na początki krytyki nieumiejącej uszanować nic.“

Przechodząc do poszukiwania przyczyn tego zjawiska, autor wyraża zdanie, że powaga jest niczem sama w sobie, ale wszystkiem w głowach i sercach swego otoczenia. Nie jest ona żadnym przymiotem osoby, do której jest przywiązaną, lecz składa się z sumy wyobrażeń, jakie o tej osobie tworzą sobie inni ludzie i z wypływających z tego źródła uczuć sympatyi i antypatyi, obawy i nadziei. Dokonywa ona wielkich czynów swoich nie w świecie zewnętrznym pod ożywczem ciepłem promieni słonecznych, lecz potajemnie i w ukryciu, w mózgach swoich wielbicieli.

Oprócz obawy i wszystkich skutków pośrednich i bezpośrednich, jakie ona wywiera na umysły, jednym z najważniejszych czynników, wytwarzających powagi, jest niezdolność większości ludzi do pojmowania zjawisk świata i związku, jaki pomiędzy niemi zachodzi. W poczuciu tej niezdolności zwracają się oni do osób, w których wysoką wiedzę wierzą i odpowiedzi ich przyjmują z kornem poddaniem się, jako wyroki nieomylne. Szczegółowy przebieg tego procesu Giżycki kreśli w sposób mniej więcej następujący: Niektóre czynności czysto-umysłowe, o ile prowadzone są z celem zyskania środków do życia, łatwo stają się mechanicznemi. Urzędnik biurowy, przemysłowiec, nauczyciel, prawnik, lekarz powtarzają nieskończoną ilość razy jedne i też same operacye duchowe, a zręczność ich i przydatność po większej części polega na tem właśnie, że wyłącznie, niemal mechanicznie wykonywają działania myślowe, które początkującym udają się jedynie z pomocą długiego namysłu i dojrzałej rozwagi. Czynności te z jednej strony tamują im drogę do wszelkiego po-

*) *Autoritäten.* Berlin, 1888, str. 58.

Burza zostawiła ziemi świeżość, a noc pieściła ją ochłodzoną dłonią. Usypiający park miał oddech wonny. Oblane mdłem światłem księżyca, posągi promieniały łagodnie.

U wejścia rozległo się znów chrząkanie satyra. W parku nie było nikogo.

Lekkie uśmiechy przemknęły po twarzach bogów, bogiń, młodzieńca i dziewcząt. Ciała ich znów żadnych skaz nie miały, oczy błyszczały, usta zwilgotniały i drgały, chciwe pocałunków; członki rozginiały się z wdziękiem. Pierwsza zeskoczyła z piedestału tańcząca nimfa. Lżejsza od wiatru, w ruchach lubieżnych podbiegła do starego satyra i ze śmiechem pochwyciła w białe dłonie jego głowę. Zdumiony stróż parku chrząknął radośnie i suchemi rękami oplótł... księżycowy promień. Nimfa kołysała się już zawieszona na szyi młodzieńca, który w uścisku jej omal harfy nie uronił, a smutną pieśń swą zapomniał.

Satyr ze złości spadł na ziemię i kucnąwszy na krzywych nogach — przeraźliwie zawył. Lecz krzyk swój urwał nagle i zmieszany, bez szmeru wdrapał się na piedestał.

Ciche: ts—s... przeleciało po parku.

Stara kobieta i mała dziewczyna szły wolno ścieżką przez park, skracając sobie drogę do wsi, za miastem. Dziewczynka lękliwie patrzała na ciemne zarośla i zgubione w nich drobne, księżycowe światełka. W ręku mięła spódnicę matczyną.

— Mamo, tu ktoś gada.

— Nikt nie gada, Joasiu, nie bój się wcale.

Księżyc rzucił przed nie wielką srebrzystą plamę, a w zaroślach obnażył satyra.

— U—u—u... ma... mo...

Jakieś struny pękły w głosie małej dziewczyny i załkały w wielkiem przerażeniu. Matka pochwyciła ją na ręce i szła prędzej, a w ramię jej wsiąkały ciepłe łezki Joasine.

Tymczasem satyr spłonął krwawym rumieńcem i pierwszy raz w życiu żałował, że jest tak brzydki, że przestraszył małą dziewczynę. Jak mógł najciszej, szepnął do nimfy: "Ona się boi!“ Posągi powtarzały jedne drugim: „Mała dziewczyna się boi!“ I każdy stroił się w najweselszy uśmiech, a przyjazne ich tchnienia tak nasyciły powietrze, że ośmielone dziecko podniosło głowę i znów się rozejrzało.

Były nad wodą. Księżyc świecił i daleko odgarnął cienie, rozespany łabędź sennymi ruchy płynął do brzegu, a w zaroślach kwilił zbudzony ptak. Nic było się czego bać. Kobieta zatrzymała się chwilę, nabierając tchu, a Joasia, zsuwając się z rąk jej, szepnęła:

— Siądźmy, mamo, tam, gdzie to białe...

Siadły u stóp dziewczyny, przeglądającej się w wodzie i upinającej różę we włosach. Starej kobiecie zaraz zaciężyła głowa, pochyliła się na piersi. Joasia szeptała:

— Mamo, jaka ona śliczna, kto ona jest?

Głębokie westchnienie przebiegło po parku. Posągi cicho łkały ze wzruszenia i powtarzając sobie: „Ona powiada, że my śliczne, mała dziewczyna powiada, że my piękne...“

Lekkie, niewidzialne, powietrzne istoty odłączyły się od posągów, oplotły głowę kobiety i dziecka, i całowały je, tuliły, pieściły...

Tej nocy, jak i zwykle, Joasia spała w lichej, chłopskiej chacie, ale główka jej pełna była pięknych snów i widzeń. A nazajutrz, gdy ciesząc się, oglądając świt, nie wiedziała, że wspaniałe oblicze słońca wpatruje się w nią i oblewa uśmiechem, widząc zasianą w jej duszy miłość dla piękna.

F. G. Brodowski.

stępu w poznawaniu świata otaczającego, a z drugiej — pozostawiają po sobie pewne stępienie duchowe i zbyt mało czasu do zajęć bardziej idealnej natury.

Otóż stępienie to i owe chwile nieliczne— zazwyczaj zresztą obracane na wypoczonek i rozrywki towarzyskie — sprawiają, iż wielu ludzi tej kategoryi przechodzi przez życie, ani razu bacznie i z bystrością nie zastanowiwszy się nad wielkiemi pytaniami z dziedziny przyrody, prawa i moralności. Wobec tego zaś nic dziwno, że każda powaga wyobraża dla nich oszczędność we względzie własnej działalności duchowej, to jest pracy własnej i ciężkiej, do której nie przywykli. Wcale też niewybredni są w wyborze powag swoich, ale z przyjemnością poddają się każdej, o której przypuszczają, że będzie myśleć i sądzić za nich.

Rzuciwszy jeszcze parę uwag o podziale powag na religijne, naukowe, polityczne i wojskowe — autor w ostatniej części pracy swojej zaznacza upadek wszystkich wogóle tych rodzajów obecnie.

W starożytności i wiekach średnich powaga Platona i Arystotelesa przez długie stulecia mogła rozpościerać swoje panowanie; Voltaire i Rousseau, którzy za życia swego i przez krótki czas po śmierci ogromny wywierali wpływ na umysły, dziś już prawie wyłącznie tylko historyczny przedstawiają interes. Wprost naiwnym nazwano by uczonego, któryby twierdzenie naukowe chciał uzasadniać nie inaczej, jak wskazaniem, że pogląd jego podzielali Voltaire i Rousseau. Powagi w znaczeniu dawniejszem nie stanowi dziś ani Kant dla filozofów, ani Schleiermacher dla teologów, ani Newton lub Laplace dla astronomów. Darwin nawet, pomimo niesłychanego przewrotu, jaki wywołał w badaniach przyrody współczesnych, a może i przyszłych— nie stanie się dla przyrodników powagą w rozumieniu średniowiecznem.

Różnicę tę G. tak tłomaczy: „Powagom dla rozwoju pomyślnego potrzeba cywilizacyj zastałych, długich okresów ciszy umysłowej. Każdy przewrót, każda inowacya zakłóca ich rozrost. Podobne są one do pewnych roślin wodnych, które z niezwykłą bujnością krzewią się wśród bagien stojących, podczas gdy czyste fale rączo płynącego strumienia zarody ich unoszą z sobą bez śladu. Jeśli już szybki postęp naszych czasów nie sprzyja powstawaniu powag, to faktycznie usunięty im został wszelki pierwiastek życiowy przez to, że w ostatnich wiekach znakomicie straciły wpływ swój u ludzi strach i niezdolność myślenia, na których od zamierzchłej przeszłości wszelkie opierały się powagi. I materyał też służący do wytwarzania myśli naszych pod względem obszaru i istoty swojej nieskończenie przewyższa ten, jaki mieli do rozporządzenia nasi przodkowie. Najwięksi uczeni wieków średnich posiadali tylko powierzchowną znajomość nieznacznej części globu ziemskiego i jeszcze bardziej nieznacznej części jego historyi. Kraje, które dziś są siedliskiem wysoko rozwiniętej cywilizacyi, do których przy pomocy udoskonalonych środków komunikacyjnych czasów najnowszych w ciągu dni niewielu dostać się możemy, których językiem wielu z nas mówi biegle, których stany każdorazowe, nie wyjmując nawet najdrobniejszych szczegółów, najniepozorniejszych zwyczajów odległych stuleci, opisane znajdujemy w lada jakiej encyklopedyi — kraje te dla uczonych średniowiecznych należały do okolic albo wcale nieznanych, albo zaludnionych przez twory bajeczne. Szerokie dziedziny przeszłości rozjaśnia nam obecnie światło ścisłej i wiarogodnej historyi; całymi wiekami naprzód jesteśmy w stanie obliczyć niezwykłe zjawiska na niebie, które pierś barbarzyńcy przepełniają trwogą. Tysiące szkód w organizmach, choroby ciała ludzkiego, które sztuka lecznicza pierwotna przypisywała bezpośredniemu działaniu bóstw rozgniewanych, umiemy sprowadzać do prostych, łatwo określić się dających zmian w naturze przyrządów naszych, umiemy leczyć w większej liczbie wypadków."

W dalszym ciągu Giżycki zwraca uwagę na zmianę, jaka zaszła w metodach naszego badania i że zmiana ta ma zastosowanie do sposobu myślenia najprostszych nawet ludzi. W wyrachowaniach ich i rozpamiętywaniach cud wraz z oszałamiającym swym wpływem żadnej już nie odgrywa roli. Każdy, choćby trochę tylko wykształcony człowiek, przekonany jest o równomiernem urzeczywistnianiu się stałych praw przyrody. W huku piorunu nie słyszy już głosu bóstwa zagniewanego, w drganiach epileptyka i wybrykach obłąkańca nie widzi objawów mocy piekielnych, które wypędzali ongi kapłani za pomocą bicia, wody święconej i modlitw. Sny pozostały dla niego snami tylko, a nie żadnemi natchnieniami boskiemi, czy demonicznemi, dla strachów zaś, czarownic i zaklęć ma tylko uśmiech politowania. „Znakomitym też — dodaje— mistrzem logicznego myślenia jest duch kupiecki, przenikający cywilizacyę nowoczesną. Logika kupca w gruncie nie jest inną, jak logika filozofa, ale ona większej jeszcze ścisłości wymaga od swoich adeptów, jej bowiem wnioski fałszywe, regulowane być muszą w brzęczącej monecie. Jak mało mielibyśmy systemów metafizycznych, gdyby każdy filozof trzosem swoim musiał poręczać za trafność swych dowodzeń!"

Powagi tedy światowe tem więcej tracą grunt w sercach ludzkich, im więcej zyskują na znaczeniu prawa i sądy niezależne i prasa bezstronna, im więcej szerzy się oświata i tolerancya. Oświata to i tolerancya przekonały nas, że nie ślepe zaufanie, lecz owszem wytrwała nieufność ku uznanym powagom — stanowi jedynie możliwą drogę do postępu naukowego.

Oto jest w najgłówniejszych zarysach treść nowej książki p. Giżyckiego, po której bliższem przejrzeniu czytelnik z łatwością zrozumie, dlaczego autor na jej czele położył charakterystyczne przysłowie arabskie: „Atrament nauki cenniejszym jest, aniżeli krew męczenników."

Ad. J. Cohn.

SPRAWY EKONOMICZNE.

OLBRZYMIE STRATY.

Od pewnego czasu wszystkie niemal pisma ruskie wykazywały w obszernych artykułach niesłychane niedbalstwo i nieporządki na kolejach Południowo-Zachodnich. Zarząd tych dróg z lekceważeniem słuchał wszelkich uwag i dalej prowadził gospodarkę według utartej metody. Obecnie skutki tego dadzą się już określić jasno. Kraj poniósł ogromne straty i na długo po za granicami swemi zabił dobrą wiarę w produkty przemysłu rolnego. Londyński agent ministeryum skarbu donosi w organie urzędowym, iż większa część przybywających nad Tamizę partyi pszenicy czarnomorskiej jest surowa, ziarno w wielu razach porosłe. Następnie ze złożonych w Odesie 700,000 czetw. pszenicy, suchej znaleziono bardzo mało, reszta zupełnie zamokła. Skutkiem tego ceny pszenicy ogromnie spadły i ciągle jeszcze spadają, przedsiębiorcy zaś i rolnicy są w rozpaczy.

Oto przyczyny: Na Południowych a głównie Południowo-Zachodnich kolejach żelaznych niema gdzie składać i zabezpieczać towaru. Tymczasem normalna ustawa dróg w całem państwie wymaga, aby wszystkie stacye posiadały kryte miejsca na towary. Istnieją one wprawdzie na kolejach Południowo-Zachodnich, ale mogą zaledwie setną część zmieścić tego produktu, którego dostarczają bogate i rozległe przestrzenie czarnoziemne. Kiedy w roku przeszłym rozbiegły się wieści o pomyślnym urodzaju na Południu, koleje żelazne nie przedsiębrały żadnych środków zabezpieczenia dla napływającego na stacye zboża. Skutkiem tego dostawione ziarno musiano składać na gołą ziemię, gdyż zabrakło nietylko krytych miejsc, ale zwyczajnych platform. Zboże w takich miejscach leżało po kilka tygodni, oczekując kolei na transport. Następnie wysyłano je w odkrytych wagonach, jak węgiel lub kamienie. Jednocześnie zaś drzewo na potrzeby wyższej służby kolejowej wożono w zamkniętych wagonach. Dzięki takiej gospodarce, według przypuszczalnych obliczeń (podanych przez *Dień*) *dziesięć milionów pudów* pszenicy zepsutej leży na rynkach krajowych i zagranicznych, za którą nikt nie chce dawać połowy wartości. Jeśli oceniać dobrą, suchą pszenicę w Odesie po rs. 1 za pud, to się okaże, iż nieporządki kolejowe teraz już przyniosły przemysłowi rolnemu *pięć milionów* rubli straty. Nadto leżąca dotychczas w portach czarnomorskich zepsuta pszenica obejmuje nierównie większe szkody. Ogromną jej masę odprawiono w ciągu ubiegłej zimy do portów niemieckich morza Bałtyckiego i tam zgubnie podziała na ceny wogóle zboża ruskiego. Wkrótce nastąpi nowy sezon transportu zbożowego. Czy się to samo powtórzy na kolejach Południowo-Zachodnich?

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Zrzeszenie w nauce. Paryskie towarzystwo psychologii fizyologicznej postanowiło zająć się zbadaniem dziedziczności, zwłaszcza umysłowej i moralnej, wśród ludzi. Słusznie jednak zauważyło, że w tak obszernej sprawie niewiele może uczynić jeden lub nawet kilku badaczów i że najodpowiedniejszą drogą ku nagromadzeniu możliwie licznego a wymownego materyału jest odwołanie się do współpracownictwa jaknajszerszych kół wykształconej publiczności. Naturalnie towarzystwu chodzi o skreślenie jaknajdokładniejszych rodowodów, obejmujących w jednej linii kilka pokoleń rodziny — od dziada chociażby do prawnuka, w których oznaczonoby najdrobiazgowiej różne szczegóły, dotyczące życia oddzielnych jednostek. Choroby, długość życia, charakter emocyonalny, skłonności moralne, uzdolnienia już umysłowe, już artystyczne itd., wszystko to stanowi nader ważne szczegóły, bez których niepodobna zrozumieć zasad, rządzących dziedzicznością w sferze umysłowej i wogóle duchowej. Zwłaszcza pożądanem byłoby takie opracowanie dziejów rodziny, aby można było wykazać jej przejścia przez dłuższy przeciąg czasu z wyjaśnieniem powodów: wzrastanie lub zmniejszanie się żywotności i płodności, przekształcanie panujących chorób i uzdolnień przez pokolenia, zmiana temperamentów itd. Towarzystwo wypracowało w tym celu odpowiedni kwestyonaryusz, który rozsyła zgłaszającym się. W ten sposób powstaje olbrzymie stowarzyszenie naukowe, jakkolwiek niezwiązane żadną ustawą, zamierzające za pomocą zbiorowej pracy wiele dokonać tego, co przewyższa siły jednostkowe. Jako współpracownicy występuje liczny ogół, towarzystwo psychologiczne zaś będzie tylko komitetem, porządkującym wyniki poszczególnych badań i spostrzeżeń. Zresztą takie odwoływanie się do szerokiej publiczności w celach naukowych nie jest czemś zupełnie nowem, gdyż podobne odezwy wchodzą od lat kilku coraz bardziej w życie. U nas

możemy powołać się na przykład *Wisły*, która utworzyła u siebie odpowiednią rubrykę *poszukiwań*. O pożyteczności tego zwyczaju nie potrzebujemy szeroko mówić, gdyż rzuca się ona odrazu w oczy. Chcielibyśmy natomiast zwrócić uwagę na punkt inny — mianowicie, iż praca naukowa, podobnie jak i produkcya materyalna, wkraczają na pole zrzeszenia i zbiorowości wysiłków. Kiedykolwiek wrócimy do innych przykładów i objawów tej samej dążności w nauce.

Nowe narkotyki. Obok morfiny od niejakiego czasu zaczyna się upowszechniać wśród publiczności samozatruwanie innym narkotykiem, kokainą, jakkolwiek następstwa tego są równie szkodliwe dla organizmu. Doktorzy Magnan i Laury przedstawili w tych czasach paryskiemu Towarzystwu biologicznemu sprawozdanie o skutkach nadmiernego zażywania kokainy. Pierwsze zaburzenia ukazują się w dziedzinie czucia powszechnego. Występują halucynacye, widzenia, iż jakiś obcy przedmiot spoczywa na skórze. Jeden kokainista zeskrobywał z języka drobne, czarne robaczki i wyszukiwał w wyrzutach na ciele „mikroby choleryczne;“ inny, z zawodu aptekarz, czynił małe ranki i usiłował za pomocą igiełki wyciągnąć znajdujące się na dnie „mikroby;“ trzeci, doktór medycyny, poszukiwał w ten sam sposób „kryształków“ kokainy. Mimo całej różnorodności tych pierwiastkowych przejawów, posiadają one jedno, wspólne piętno—uczuwanie drobnych podrażnień — jak powyżej wskazano. Jest to jednakże tylko wstęp do dalszych zakłóceń w organizmie, które powoli zaczynają obejmować zmysły wzroku, słuchu i powonienia i wywoływać odpowiednie halucynacye. Jednocześnie w różnych okolicach ciała ukazuje się znieczulenie. Wreszcie nadchodzą ataki epileptyczne — jest to ostatnie ogniwo dotychczas zbadane. Cokolwiek bądź zresztą, widoczna, iż nowy narkotyk, jeżeli użycie przeszło w nałóg, sprowadza rozstrój w całym organizmie, przedewszystkiem zaś w układzie nerwowym i co za tem idzie—w charakterze moralnym jednostki. Niepodobna, ażeby odpowiednio nie odzywał się w potomstwie. Zresztą kokaina jest przedmiotem dość drogim i dostępnym jedynie dla pijaków zamożnych. Natomiast w Irlandyi, w hrabstwach Londonderry i Tyrone, szerzy się inny narkotyk, nader tani i dlatego obejmujący szerokie koła ludności. Jest to eter. Kwestya eterowa stała się tu poprostu palącem zagadnieniem dnia, która oprze się prawdopodobnie aż o parlament, jak to widzimy z paleniem tytoniu w Connecticut (Stany Zjednoczone). Mianowicie używanie narkotyku tytoniowego przez dzieci i zatruwanie organizmu od wczesnych lat doszło tutaj do takich zatrważających rozmiarów, iż wydano stosowne prawa. Mianowicie każdy, kto sprzeda lub dostarczy dziecku poniżej lat 16 papierosa albo tytoniu, płaci karę, dochodzącą aż do 250 franków; każdy zaś malec w odnośnym wieku, schwytany na używaniu narkotyku w miejscu publicznem lub na ulicy, podlega karze w wysokości 35 franków.

Wydajność pracy w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Z wyliczeń statystycznych okazuje się, iż mimo faktycznie wyższej płacy w Stanach Zjednoczonych, cena siły roboczej, w stosunku do wytworzonego produktu, jest daleko niższą, aniżeli w Europie. Tak utkanie 100 jardów pewnej dość zwykłej materyi bawełnianej, kosztuje w Szwajcaryi i Niemczech około 60, w Anglii 55, w Stanach zaś Zjednoczonych zaledwie 40 centów. To samo widzimy w każdej innej gałęzi przemysłu. Rzecz wyjaśnia się w bardzo prosty sposób przez większe natężenie pracy. Robotnik w Szwajcaryi, Francyi i Niemczech dogląda ledwie 2—3 krosien mechanicznych, w Anglii już 3—4, tymczasem w Stanach Zjednoczonych liczba ta wzrasta aż do 7—8. Dochodzi do tego, iż pracownicy angielscy, którzy przecież są przyzwyczajeni do systematycznej a natężonej i ciągłej pracy fabrycznej, wyrzuceni na ląd amerykański, potrzebują często dość znacznego przeciągu czasu dla przystosowania się do nowych wymagań, które panują w tutejszych zakładach przemysłowych. Zdarza się też, iż organizm przybyszów odmawia zupełnie posłuszeństwa w tej mierze i wskutek tego powstają wśród ludności dziwne typy, „tramps“ zwane — włóczęgów, którzy chcą pracować, lecz nie będąc w stanie podołać trudom, włóczą się z miejsca na miejsce, poszukując lekkiej, dorywczej roboty w polu, przy drogach, przenoszeniu pakunków. Są to istotnie odpadki ludzkie, których ustrój nerwowy nie odpowiada już warunkom tegoczesnego pożycia społecznego. Zauważymy, że praca w Anglii jest jeszcze bardziej natężona, niż w Europie.

WYNALAZKI.

Sklepienia i pułapy niezapalne. Forsztowania, pułapy i sklepienia niezapalne Rabitza wchodzą w coraz szersze zastosowanie. Składają się one z powłoki wytworzonej z mieszaniny: gipsu, wapna i piasku grubego, dobrze rozrobionej, którą pokrywa się dach metalowy silnie rozpięty we wszech kierunkach za pomocą drutu żelaznego, kółkowego.

Powłoka, nałożona najpierw z jednej strony i silnie naciskana na kółka drutu, wytwarza przeciskającą się przez nie masę, która się łączy z warstwą, nałożoną z drugiej strony. W ten sposób otrzymuje się przepierzenie silne, w której dach metalowy stanowi duszę. Przepierzeniu temu nadaje się grubość 40 do 50 milimetrów w ścianach lub forsztowaniach, 30 do 33 milimetrów w pułapach i 50 do 75 milimetrów w sklepieniach.

Po upływie kilku dni powłoka jest suchą w tym stopniu, że można ją pociągać farbą lub wyklejać obiciem. Osuszenie zwiększa jeszcze siłę rozpięcia dachu metalowego i nadaje mu wielką ścisłość.

Jeżeli chodzi o zabezpieczenie się od wilgoci, zastępuje się powyższą powłokę cementem.

Tą metodą zabezpieczyć się można najzupełniej od pożaru nawet wtedy, gdy ten ściany obejmuje. Pod względem hygienicznym system ten również jest nieoszacowanym; w sypialniach też, szpitalach, przytułkach dla biednych, itp. zastosowanym być winien.

Belit. Karol Lamm wytworzył nowe ciało wybuchowe nazwane przezeń *belitem*. Doświadczenia z nim odbyte wobec P. Châlon, inżeniera sztuk i rzemiosł, powiodły się najzupełniej.

Doświadczenia odbywano w kopalni Argenteuil z belitem w postaci nabojów ścieśnionych i sproszkowanym. Przetwór ten składa się 4 do 5 części azotanu amoniaku i 1 części dinitrobenzyny.

Proch belitowy jest żółtawy, w dotknięciu, prawie suchy; posiada smak i woń azotanu amoniaku.

Naboje ścieścione, pomysłu Lamma, pokrywa papier i powłoka podobna do parafiny. Przy ich podstawie wywierconym jest jeden lub dwa otwory, dla osadzenia w nich jednego lub dwóch pistonów z rtęcią piorunującą, wywołującą eksplozyę.

Belit wybucha w powietrzu wodnem, równie jak w minie, tak w stanie sproszkowanym, jak i w nabojach ścieśnionych, gdy go zapala się za pomocą pistonu, obejmującego pół grama rtęci piorunującej.

Belit może być użytym w minach do rozsadzania skał lub wpowietrzu swobodnem w sztuce militarnej, do nabijania granatów.

Przetwór ten daje się fabrykować, manipulować, przenosić i magazynować bez żadnego niebezpieczeństwa, gdyż jest nieczułym na wszelkie wstrząśnienie, uderzenie, tarcie, równie jak na działanie żaru lub płomienia. Siła jego wybuchowa przenosi 2 do 3 razy właściwą prochowi zwykłemu.

Osad elektrolityczny glinu. Otrzymanie osadu glinu należało do operacyj najtrudniejszych w galwanoplastyce, gdyż dotąd nieznano procesu, któryby dawał rezultaty zupełnie zadowalające. Obecnie P. Herman Reinbold podał metodę, za pośrednictwem której pozyskuje się osady po jednokrotnem wypolerowaniu, błyszczące jak srebro i nieulegające żadnemu utlenianiu się pod wpływem dymów siarczanych.

W tym celu urządza się kąpiel złożona z 50 części ałunu (podwójnego siarczanu glinki i potażu) i 300 części wody; poczem dodaje się 10 części chlorku glinu, ogrzewa do 100 stopni Celsiusza i pozostawia roztwór w spoczynku, aby wystygnął. Następnie dodaje się roztwór z 39 części cyanku potasu.

Przedmiot mający się galwanizować po stosownem oczyszczeniu, jak to ma miejsce w procesie pozłacania i posrebrzania elektrycznego, zawiesza się w tej kąpieli przy elektrodzie dodatnim, i zanurza się blaszkę glinu jako elektrod ujemny. Prąd powinien być dość słaby.

Po wypolerowaniu metal osadzony nabywa przepysznego połysku, nieustępującego w niczem połyskowi srebra, a co ważniejsza, nie utlenia się i nie czernieje od dymów siarkowych.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Juliusz Słowacki: *Poezye, utwory dramatyczne i proza*. Pierwsze wydanie z pośmiertnych rękopisów zaopatrzone wstępem i objaśnieniami przez J. H. Rychtera. Kraków, 1889, str. 333.

W dziedzinie literatury, jak w dziejowym pochodzie cywilizacyi, odróżnić się dadzą pewne stałe po sobie zjawiające się prądy i kierunki. Po wielkiej epoce odrodzenia poezyi naszej w pierwszej połowie bieżącego stulecia, chwila obecna przyniosła z sobą krytycyzm, któremu przypadło w udziale rozpamiętywać wspaniały dorobek minionego, najświetniejszego okresu pieśni. Ale czy trzeźwy powiew rzeczywistości i wiążących się z nią celów i zagadnień, czy też doświadczenie kilku lat dziesiątek zmieniły nasze pojęcia i poglądy, dość że bogowie romantyzmu, którzy współczesnym zjawiali się wśród gromów i błyskawic, olśniewając ich swem tchnieniem, nam wydają się wprawdzie nie mniej wielkimi, ale pobudzają zarazem do refleksyi, wzniecając chęć dokładnego rozważenia i ocenienia ich działalności. Hasłem dzisiejszych prądów w naszej literaturze stała się krytyka. Długo jednak wyrabiać i kształcić się musiał nowy ten kierunek, zanim stanął na wyżynie, która zapewniała mu panujące stanowisko w literaturze. Reakcya zastanowienia po chwilach zachwytu obudziła się wprawdzie wcześnie, niemal współcześnie z romantyzmem, ale dopiero po mozolnem i bezcelowem błąkaniu się zdołała wkroczyć na właściwe tory. Inicyatorem tego kierunku był Mochnacki. Nowy okres zapoczątkował on świetnie, ale nie znalazł godnych naśladowców. Krytyka po nim zeszła wprędce do miary szablonowej, kosmopolitycznej doktryny, której zbywało na zdolności głębszego wniknięcia w ducha i idee autorów— niebawem zaś obniżyć się miała i jeszcze bardziej stać się służebnicą prywaty. Zmieniono ją w narzędzie propagandy stronnictwa. Napuszony frazes pokrywać musiał płytkość myśli i brak wiedzy a osobiste sympatye dla pewnych odłamów polityczных zajęły miejsce bezstronności. Ostatnie czasy dopiero przyniosły ożywczy promień nadziei, rokujący lepszą przyszłość rozwojowi piśmiennictwa na tem polu. Długo przez wsteczníctwo wstrzymywane prą-

dy, które oddawna na zachodzie uzyskały prawo obywatelstwa, hasła i prawdy, które na sztandarach swych podnieśli Sainte-Beuve i Taine przedostały się nareszcie do nas. Gdy dawna krytyka t. z. filozoficzna spoglądała na dokument literacki, jak na rzecz spadłą z obłoków, nie zwracając uwagi na autora i wpływy, pod jakimi tworzył, gdy wobec tej metody dziwadła krytyczne zastraszać w końcu poczęły nawet najzagorzalszych zwolenników rutyny, zwrócono się z drogi. Przyjęto teoryę Sainte-Beuve'a, że niepodobna dobrze zrozumieć i ocenić dzieł pisarza bez uwzględnienia stanu jego ducha i jego pojęć; uwierzono, że dzieło sztuki nie może stać się przejrzystem i zrozumiałem, jeżeli nie znamy ducha, pod którego tchnieniem powstało. Tą miarą przedewszystkiem oceniać należy utwory poetów, należących już do dziejów piśmiennictwa. Jednym z zasadniczych i niezbędnych ku temu warunków jest poznanie całkowitej działalności pisarza, dokładna znajomość znamion czasu i miejsca, w których tworzył, wreszcie wpływów, jakie oddziałały na jego pracę. Żaden najdrobniejszy ułamek pism, żaden szczegół życia dla racyonalnie pojmowanej krytyki nie może być obojętnym.

Jesteśmy jednak dopiero w brzaskach rozkwitu epoki krytycznej. Zanim kierunek nowy i jego wymagania zajaśnieją pełnym blaskiem, długo walczyć on będzie musiał z konserwatyzmem uprzedzeń, który dziwnie już nie licuje z duchem epoki. Wszak do dziś niemała jeszcze ilość cennych dla literatury utworów wielkich autorów (choćby tylko wspomnieć obfitą spuściznę po Krasińskim) kryje się pod korcem, strzeżona argusowem okiem gasicieli prawdy i wolności słowa.

O ile łatwym jest do poznania i zrozumienia główny pień naszej poezyi romantycznej, o tyle przedstawiają trudność niemałą w tym względzie te jej odrośle, które powstały zdaleka od kraju, na tle ówczesnych prądów europejskich, wyhodowane na gruncie przygotowanym przez wrażliwe i rozwichrzone wychodźctwo, obałamucone teoryami nauki Towiańskiego i innych apostołów mesyanizmu. Krytyka nie wypowiedziała o nich dotąd swego sądu, bo wypowiedzieć go nie mogła, dopóki z pyłu bibliotek nie ukażą się na widok publiczny, w poczuciu pietyzmu może, ale ze szkodą dla historyi piśmiennictwa ukrywane płody, największych przynajmniej przedstawicieli naszego umysłowego i cywilizacyjnego postępu. Typ zbiorowy, najwybitniejszy tego pamiętnego okresu, wyobraża Słowacki. Wiele już zrobiono dla zupełnego odtworzenia genialnej postaci poety i dla poznania dzieł jego, a mimo to, śmiało rzec można, że dalecy jeszcze jesteśmy od pełnej świadomości tych wszystkich czynników, śród których on tworzył w pomienionym okresie. Te „fermenty ducha" — jak nazwano ostatnie utwory Słowackiego — czekają jeszcze na swego historyka...

W tym względzie dla krytyki niemałe posiada znaczenie wydany świeżo przez p. J. H. Rychtera tom nieznanych dotąd szerszemu ogółowi pism Słowackiego. Celniejsze i większe ułamki ogłaszał wprawdzie wydawca częściowo w pismach, przeszły one wszakże niepostrzeżenie, wobec czego zbiorowe ich wydanie powitać należy jako myśl bardzo pożyteczną. W czterdzieści lat po zgonie poety doczekaliśmy się nareszcie chwili, w której rozporządzamy całkowicie wspaniałym dorobkiem genialnego jego umysłu.

Objęte tym tomem okruchy wyczerpują w zupełności spuściznę po Słowackim. Pochodzą one z okresu 1842—49 a przechowywane były w książnicy zakładu Ossolińskich we Lwowie. Miał je swego czasu w ręku prof. Małecki (o niektórych nawet wzmiankuje w swem dziele), przeglądał je również dr. Biegeleisen, ale czy źle zrozumiany pietyzm, czy też trudność w odczytaniu i uporządkowaniu, odstraszyły obu krytyków od ogłoszenia tych szczątków.

Jak wogóle płody genialnego umysłu, tak i te ułamki aczkolwiek nie dorównywają nawet w części wartością ogłoszonym utworom Słowackiego, noszą jednak niezaprzeczone piętno świetnych błysków myśli swego twórcy. Przesiąknięte na wskróś mistycyzmem, w odmęcie owych rojeń zatracają pojęcie konkretności i przez to stają się niezrozumiałe, ale potężny polot myśli tu i owdzie się przejawiający i język lśniący całem właściwem Słowackiemu bogactwem kolorytu, zapewniają i im miejsce należne w historyi literatury.

Z pomiędzy obfitego działu drobnych poezyj wyróżnia się skończoną formą poemat „Eolion." W formie dramatycznej przeprowadza tu poeta myśl o idei człowieczeństwa, o zadaniach i celach człowieka. Zdaje się że w osobie Eoliona widzi siebie samego i swe posłannictwo gdy mówi:

„We mnie jest moc płomieni,
Co rozerwane zwiążę.
Nie wiesz ty co ja stworzę...
Dziecko ja jestem Boże..."

Dwie walkirye z błyskawicami na głowach, rozpoczynające wątek, przypominają, że to doba wszechwładnego panowania romantyzmu. Przypomina o tem również cały szereg drobnych fragmentów i urywków poetyckich, które prócz pięknych, niekiedy oderwanych myśli nie wyróżniają się szczególniejszemi zaletami.

Cechy filozoficznego natomiast traktatu, w którym znalazły wyraz najróżnorodniejsze systematy i pojęcia filozofii mesyanistycznej, posiada urywek poematu „Teogonia." Zamiarem autora było, zdaje się, sformułowanie w tym utworze własnej, przez siebie stworzonej teoryi mesyanistycznej, której idea wiecznie panowała w rozgorączkowanym umyśle Słowackiego. Jest to utwór dla nas zupełnie niezrozumiały; napisany w ostatnim roku życia poety, daje smutny obraz konania gieniuszu, spętanego doktryną. Części poetyckiej dopełniają w zbiorze epigramaty, aforyzmy i drobne wiersze. Drobiazgi te pochodzą, zdaje się, z różnych czasów, prawdopodobnie poprzedzających r. 1842, zdradzają bowiem myśl świeżą, rzeźką i niezamgloną zupełnie pojęciami oderwanemi.

W dziale utworów dramatycznych znajdujemy jeden, prawie wykończony dramat „Agezylausz," oraz dwa fragmenty „Zawisza Czarny" i „Z dziejów Wielkiego Nowogrodu." „Agezylausz," ogłoszony oddzielnie przed kilku laty przez p. Rychtera, nie zwrócił na siebie uwagi. Jest to stanowczo jedno z najsłabszych dzieł Słowackiego, a zasługuje na uwagę tylko wielce realistycznym sposobem prowadzenia wątku i dziwnie odmienną formą. Nierównie większą wartość posiada fragment „Zawisza Czarny." Dotknął tu Słowacki jednego z najwybitniejszych epizodów przeszłości dziejowej, mianowicie bitwy grunwaldzkiej, czyniąc bohaterem rozgłośną postać Zawiszy Czarnego. Nieodgadnioną jest w pomyśle tajemnicza ta postać, pasowana przez poetę na bohatera idei. O ile całość fragmentu nie daje pojęcia o zakresie zamierzonego dzieła, o tyle liczne ustępy odznaczają się niepospolitą pięknością. Mały urywek „Z dziejów Wielkiego Nowogrodu," którego treść zaczerpnięta jest z historyi Rusi średniowiecznej, oraz „Scena w Malborgu," dopełniające działu utworów dramatycznych, lubo zawierają wiele głębokich i w mistrzowską formę przybranych myśli, dla piśmiennictwa nie przedstawiają większej wartości ze względu na swój mesyanistyczny podkład.

Z zamieszczonych w zbiorze ułomków zasługują jeszcze na uwagę przypowieść, tj. drobne opowiadania o myśli ewangelicznej, spisane w stylu biblijnym, „kazanie," będące dopełnieniem „Genezis z Ducha," „miscellanea," zawierające zapiski snów, do których poeta znaczącą przywiązywał wagę, wreszcie rozporządzenie ostatniej woli.

Na czele wydania pomieścił p. Rychter wstęp, w którym daje pogląd ogólny na cały ruch umysłowy okresu mesyanistycznego i charakteryzuje odnośną działalność Słowackiego jako poety, a zarazem najczynniejszego krzewiciela panującej wszechwładnie doktryny. Wywody te, aczkolwiek w wielu punktach trafne, zawierają jednak poglądy, które nie wytrzymują krytyki. Niepodobna na tem miejscu wykazywać szczegółowo błędnych owych zapatrywań, które zresztą mogą być brane na karb osobistych przekonań autora; wszelako podniosę dwa apodyktycznie postawione twierdzenia, które stanowczo sprostowania się domagają. Na str. 24 powiada p. R.: „Samej filozofii mesyanistycznej, która miała na celu odrodzić z Ducha św. nas, a nawet całą ludzkość, nie może w zasadzie potępić żaden chrześcianin!" P. R. zapomina, że cała filozofia mesyanistyczna Słowackiego, to abstrakcya rozgorączkowanego umysłu a nie systemat wierzenia, z którymby można poważnie się liczyć. Zdaniem tem przyznaje p. R., wbrew opinii powszechnie dziś przyjętej, racyę bytu mesyanizmowi i niezłedwie dodatni wpływ mu przypisuje. Następnie wzmiankując o poemacie „Król Duch" powiada: jest to „nowy zwrot w poezyi naszej, owiany smętkiem, boleścią, a jednak tryskający wiarą." Drugi ten pogląd jest naturalnym wynikiem pierwszego; uwielbienie dla Słowackiego unosi zapalonego komentatora zbyt daleko i cała pociecha w tem, że z takim sądem pozostanie on chyba zupełnie odosobnionym.

Strona zewnętrzna wydawnictwa, która wobec opłakanego stanu rękopisów przedstawiała w uporządkowaniu niemało trudności, jest bardzo przyzwoitą. Za trud podjęty wydawcy szczera wdzięczność się należy.

W. P.

Z NIEMIEC.

22 czerwca.

Niemcy i literatura świata. — Czasopismo dla porównawczej historyi literatury. — Teodora Wehla szkice „Aus dem früheren Frankreich." — Nowe powieści: Juliusza Grossego „Ein Frauenloos;" Rudolfa Lindaua „Der lange Holländer;" Ulryka Franka „Der Kampf um's Glück."

Wiadomo, że z narodów europejskich niemcy najwięcej położyli zasług w zbliżeniu literatur ludów cywilizowanych i wytworzeniu wielkiej literatury świata, obejmującej najcelniejsze dzieła języków kulturnych. Pobudka w tym względzie wyszła od Goethego, który przy końcu drugiej dziesiątki bieżącego stulecia z powodu tłomaczeń utworów jego na język angielski, francuski i włoski, poznał zajęcie, jakie w jednym narodzie istnieje dla literatury drugiego. W poszytach swych, wychodzących p. t. „Ueber Kunst und Alterthum," kilkakrotnie poruszał sprawę literatury świata. „Nie może o tem być mowy—pisze Goethe — aby narody myślały zgodnie; powinny się tylko obserwować wzajemnie, pojmować, a skoro kochać się nie mogą, znosić się przynajmniej."

Prąd, wywołany przez Goethego, nosił cechy kosmopolityzmu i międzynarodowości. Stworzono dlań organ osobny, „Magazin für die Litteratur des Auslandes," który zrazu wyłącznie służył myśli zjednoczenia literatur. Zczasem jednak w Niemczech rozwijać się zaczął coraz silniej kierunek narodowy, żądający na polu piśmiennictwa przedewszystkiem cech narodowych, swojskich, i walczący z naśladownictwem. Uległ mu i organ wspomniany, który najpierw małą otworzył furtkę (za redakcyi

d-ra Hirscha) zmieniając swój tytuł i związując się „Magazin für die Litteratur der In- und Auslandes," a w ostatnich latach, pod redakcyą młodych poetów, Bleibtreua i Kirchbacha, stał się wprost partyjnym organem realistycznej szkoły niemieckiej. Nie ustały jednak w Niemczech badania i prace, zmierzające do urzeczywistnienia ideału Goethego; jeno że inną w ostatnich czasach poszły drogą. Uznając żądanie, iż literatura opierać się powinna na gruncie swojskim i być wyrazem ducha narodowego, pogłębiono myśl dawną i wytworzono nową gałęź nauki, którą nazwano porównawczą historyą literatury. Organ tej grupy, wydawany przez profesorów Maksa Kocha i Ludwika Geigera, wychodzi pod tytułem „Zeitschrift für vergleichende Litteraturgeschichte und Renaissance-Litteratur." Za swe zadanie uważa on śledzenie rozwoju myśli i form, ponawiających się ciągle przekształceń pewnych przedmiotów w piśmiennictwach dawnych i współczesnych, wreszcie wpływu wzajemnego i związków między niemi. Zajmuje się on zarówno wędrówką pewnych tematów przez literatury różnych ludów, jak i obcemi źródłami celniejszych utworów narodowych; śledzi historyę tłomaczeń i studya czynione przez pojedyncze narody nad piśmiennictwami obcemi, a wreszcie regestruje w sposób porównawczy nowe dzieła. Znajdujemy tu rozprawki o bajkach z Afryki środkowej, o powstaniu pierwszego w Niemczech „Hamleta," o wystawieniu utworów Plauta na scenie wejmarskiej, o źródłach germańskich legendy Tristanowej, obok artykułów o wpływie pisarzów klasycznych na późniejszo piśmiennictwo, Niemiec na Francyę, o liryce staro-prowansalskiej, o poetyce odrodzenia, o źródłach Dekamerona.

Aczkolwiek nowa ta umiejętność rozwija się w swym organie swobodnie i nie dla wszystkich prac ma te same punkty widzenia, jednak zauważyć można, iż zbliża się do wymagań, wyrażonych jeszcze w r. 1865 przez Goedeckego. Twierdził on, że porównawcze badania przedmiotów pokrewnych powinny najprzód odkryć źródła ich pierwotne, następnie oznaczyć, kto je na obcy grunt przeszczepił, i o ile na nim się zmieniły. Praca porównacza historyka literatury nie może więc poprzestawać na prostem zaznaczaniu pokrewnych rysów w utworach różnych ludów. Przedewszystkiem rozpatrzyć należy, czy może podobne okoliczności zewnętrzne spowodowały powstanie utworów pokrewnych. Lecz i w tym wypadku należałoby zbadać, czy autor późniejszy znał dawniejszego i jakiemi drogami pewien przedmiot przeniesionym być mógł do drugiego narodu. Wykazawszy zaś wpływ obcy, odpowiedzieć wypada na pytanie, o ile motyw wzięty z literatury obcej uległ nowej przeróbce.

Trudno zaprzeczyć, że reguła ta mieści w sobie pewne niebezpieczeństwo: łatwo bowiem skrzętny badacz popaść może w manię wyszukiwania podobieństw i ustalania pokrewieństw tam, gdzie one nie zachodzą. Niebezpieczeństwo to usnąć zdola gruntowne traktowanie badań odnośnych, które dokładnie i ściśle wykazać powinny drogi, po których motywy szczegółowe przechodziły z jednej literatury do drugiej. Oryginalnemu, zdrowemu duchowi narodowej twórczości poetyckiej porównawcza ta historya literatury bynajmniej uszczerbku nie przyniesie: owszem, zadaniem jej będzie wykazać, w czem polegają cechy znamienne umysłowości różnych ludów, których piśmiennictwa posiadają utwory na podobnych osnute wątkach.

O ile przyklasnąć należy tym usiłowaniom uczonych i literatów, o tyle z drugiej strony nie można odmówić słuszności autorom niemieckim, występującym przeciw ślepemu naśladownictwu maniery zagranicznych, zwłaszcza francuskich. Dzieje się to zawsze kosztem siły i zdrowia piśmiennictwa ojczystego. W ich rzędzie wybitne zajął swego czasu miejsce Teodor Wehl, który walczył zwłaszcza przeciw pasorzytnictwu scen, gardzących utworami niemieckimi, a pochłaniających natomiast najlichsze nawet farsy, zrodzone na klasycznym gruncie bulwarów. Zarzucano Wehlowi, że czyni to jedynie przez nieznajomość dramatycznej literatury francuzów i ślepą niechęć ku ich umysłowości. Zdaje się, że zarzut ten spowodował Wehla do wydania zajmującego zbiorku szkiców, sięgających po części do czasów odleglejszych *). W siedmiu tych rozprawkach okazuje on dokładną znajomość literatury i umysłowości francuskiej, co więcej, rzuca wiele nowych i zajmujących uwag. Ciekawym jest zwłaszcza szkic poświęcony listom kobiet francuskich, od Małgorzaty de Valois aż do pani de Staël.

W rzędzie powieści, które świeżo opuściły prasę, wspomnieć winniśmy naprzód o nowym utworze utalentowanego i znanego autora, Juliusza Grossego, który aczkolwiek zalicza się do dawniejszego pokolenia, przedstawił obecnie dzieło nawskróś nowoczesne. Nowa, krótka jego powieść „Ein Frauenloos," zasługuje na miano to z dwóch zwłaszcza względów. Podczas gdy starsi jego koledzy po piórze główny kładą nacisk na akcyę, układają kunsztowną osnowę i kunsztowne jej rozwiązanie, Grosse zredukował akcyę do rozmiarów najniezbędniejszych. Z ust przyjaciela zajmującej kobiety, która jest bohaterką powieści, dowiadujemy się o losie a raczej o dziejach wewnętrznych pani Loni, żony profesora Hermana D. Loni jest kobietą wyposażoną uczuciem, rozumem i temperamentem; atoli nigdy natura jej nie znalazła sposobności do pełnego uwydatnienia i rozwinięcia ukrytych w niej zalet. Przygniatany i zamykany w sobie fizyczny i psychiczny jej ustrój, coraz bardziej postępuje w kierunku nerwowo-somnambulicznym. Na tej to podstawie przyjaciel ów zdołał zrazu za pomocą wpływu magnetycznego uspokoić rozdrażniony system nerwowy Loni; atoli po pewnym czasie przekonywa się, że ów przejściowy jej spokój ustępuje miejsca nowemu prądowi, wzruszającemu ją do głębi: Loni wstępuje w nowy świat wrażeń i uczuć — pokochała swego lekarza. Wszystkie te przejścia w duszy kobiety wrażliwej na magnetyzm można zrozumieć i usprawiedliwić. Atoli Grosse, hołdujący snać spirytyzmowi, posuwa się dalej i opowiada o zajściach niepojętych; i tak Loni przepowiada pewnemu dyrektorowi banku, iż grozi mu nieszczęście, które następnie się spełnia. Mimo tej wiary w spirytyzm, która z czasem na twórczości poetyckiej utalentowanego pisarza odbić się może, utwór Grossego wiele ma zalet. W psychologii jego odbija się znajomość Flauberta, Balzaca i Dostojewskiego.

W zajmującem zagadnieniu psychicznem streszcza się też nowa powieść Rudolfa Lindaua „Der lange Holänder." Tak zowią Büchnera, uczciwego buchhaltera, który niewinnie popada w podejrzenie, iż przywłaszczył sobie znaczniejszą sumę. Dla braku dowodów sąd uwalnia go; zawsze jednak na czci jego pozostał cień, który go gnębi i zdrowie jego podkopuje. Wówczas zbliża się doń niejaki Prati, a zostawszy przyjacielem, wspiera go wiernie i z poświęceniem, dzieląc zabiegi małżonki jego około rozweselenia melancholika. Ów Prati zaś jest właściwym winowajcą. Widząc zmianę, jakiej uległ uczciwy buchhalter, czuje on wyrzuty sumienia i pragnąłby osłabić jego cierpienie czułością i przyjaźnią. Brak mu jednak odwagi do złożenia otwartego wyznania winy. Jego tylko usiłowaniom zawdzięcza Büchner, że nie dochodzi do zupełnego upadku moralnego i fizycznego. Wtem niespodziana śmierć zaskakuje Pratiego. Przegląd papierów jego najjaśniej udowadnia winę, a zarazem niewinność „długiego holendra." I oto, gdzie występuje sztuka psychologiczna autora: zamiast, jakby przypuścić można, odetchnąć po usunięciu ciężaru podejrzenia, wrócić do usposobienia normalnego, a zarazem do niegodnego sprawcy nieszczęścia uczuć niechęć, pogardę i gniew, Büchner na wieść o odkryciu winy Pratiego rzecze: „Biedny! Ileż on musiał przecierpieć!" Melancholia, która raz zawładnęła duszą jego, już go nie opuszcza, owszem, potęguje się coraz bardziej, a wreszcie popycha Büchnera do samobójstwa. Zapewne nie z samych faktów zewnętrznych wypływa konieczność takiego wyjścia; atoli w usposobieniu, w organizacyi psychicznej Büchnera los jego był zawarty. Lindau usiłuje wykazać to jaknajdokładniej i stąd w powieści jego są miejsca przydługie, rozwlekłe. W tomie, oprócz tej, mieszczą się jeszcze trzy krótsze rzeczy tegoż autora: „Treu bis in den Tod," to powiastka osnuta na motywie zbyt już zużytym, by mimo zalet stylistycznych w czytelniku zajęcie obudzić mogła. I „Wieczór" nie odznacza się ani zajmującą akcyą, ani oryginalnością w opracowaniu. Historya wodza murzyńskiego Mioko Koango znów zbyt jest fantastyczną, by uważać ją można za zbliżoną do prawdy; podobne puszczenie wodzów wyobraźni twórczej dziwnie odbija od pierwszej pracy Lindaua, której nie można odmówić zakroju realistycznego.

Zbyt wiele przyrzeka tytuł „Der Kampf um's Glück," którym Ulryk Frank zaopatrzył powieść swą, odgrywającą się w sferach plutokracyi berlińskiej. Frank zapoznaje nas z dziejami dwóch stadeł małżeńskich. Gerhard Geerdt, człowiek uczciwy i godny, znajdujący się w dość wygodnych warunkach finansowych, ożenił się z kobietą, która utożsamia szczęście z majątkiem i dla takiego „szczęścia" gotowa jest poświęcić męża, dzieci i honor. Z usposobienia jej korzysta dawny przyjaciel Geerdta, Harmuth, który doszedłszy do wielkiego majątku, wabi nim panią Lorę Geerdt. Uwiódłszy ją i spowodowawszy rozwód jej z Geerdtem, zmuszony jest opuścić własną małżonkę i połączyć się z Lorą. Wówczas dopiero, posiadając w pełni owo mniemane szczęście, to jest skarby, poznaje bezdzietna teraz kobieta, gdzie prawdziwego szczęścia szukać należy. A kiedy dowiaduje się, że dziecko jej, żyjące u Geerdta, zapadło ciężko na zdrowiu, wraca do domu byłego swego małżonka i klęka u łóżeczka syna. Dziecko jednak umiera. Geerdt zjawia się na progu, a znękana kobieta, mdlejąc i opuszczając się w ramiona Geerdta, woła: „Szczęście! szczęście!" Na tem kończy autor powieść swą, napisaną z pewną werwą dramatyczną, pozostawiając domyślnemu czytelnikowi wysnucie prawdopodobnego rozwiązania streszczonej przez nas akcyi. Nastąpi zapewne powtórne „change des dames" i figura wedle wszelkich przepisów będzie skończoną.

Ladawa.

*) *Aus dem früheren Frankreich*, Minden.

LITERATURA RUSKA.

W. KRESTOWSKI.

Olbrzymie straty, które nieprędko dadzą się wyrównać, poniosła ruska literatura w ostatnich czasach. Po Dostojewskim, Ostrowskim, Garszynie, Szczedrynie, zakończyła w tych dniach życie Zajączkowska (z domu Chwoszczyńska), znana pod pseudonimem W. Krestowskiego. Zdobyła ona sobie zasłużenie szeroką sławę i popularność w społeczeństwie.

Urodziła się w r. 1825 w Rjazaniu; pierwszy raz na polu literackiem wystąpiła w r. 1847 z powieścią rymowaną. Następnie pojawił się szereg utworów beletrysty-

cznych, których pierwsza serya, złożona z pięciu tomów, opuściła prasę r. 1859. Od tego czasu rozpoczyna się nowa faza twórczości autorki, jak wogóle wszystkich podówczas wybitnych pisarzów ruskich, którzy odczuwali potrzeby swego narodu i jednocześnie z reformami społecznemi nadawali odpowiednią barwę swoim pismom. Prawie wszystkie prace Krestowskiego są osnute na tle życia prowincyonalnego, bogata zaś galerya typów składa się z upośledzonych i pokrzywdzonych. W pierwszej seryi powieści przeważają postacie kobiece, obdarte z salonowego blichtru, a przedstawione, jakiemi są w mizernem, szarem, drobnostkowem życiu rodzinnem wraz z otoczeniem osobników męzkich. Bohaterki te wszakże nie posiadają cech ujemnych; przeciwnie— są to przeważnie istoty szlachetne, ofiary przesądów i opinii ludzkiej. Tam, gdzie samodzielna praca kobieca jeszcze nie zdobyła praw obywatelstwa, stare panny należą do *pomiatanych* i *krzywdzonych*; takie kobiety grają rolę w rodzinie sprzętu niepotrzebnego, żyją okruchami łaski, dotkliwie kąsającej. Podobne typy spotykamy u Krestowskiego, szczególnie w utworach dawniejszych. W zastosowaniu do życia dzisiejszego wydałyby się one przesadzonymi, nie znikły jednak we wszystkich rasach. Pierwsza serya utworów pisarki („Prowincya z dawnych lat"), nie zakreśla jeszcze wybitnie jej talentu. Przeważa tam uczucie, uwagi osobiste piszącej, wyłaniający się często idealizm, brak zaś skończoności formy i wykwintnego języka. Nieco inaczej przedstawia się ona w drugiej fazie. Pole działalności znacznie się rozszerzyło, staranne zaś osobiste spostrzeżenia nadały większą wartość utworom. Tu należą: „Z wiązanki pism rzuconych do ognia," „W drodze," „Niedokończony kajet," „Rozmowa," „Nauczyciel parafialny," „W oczekiwaniu lepszej doli," „Pokusa." W tym ostatnim utworze zwraca uwagę wątek psychologiczny, nie wszędzie jednak artystycznie prowadzony. Autorka zanadto często robi wycieczki poboczne, porzuca bohatera Ozieryna dla uogólnień myśli i uczuć, które powinny być w jego usta włożone. Obok tej, zasługuje na uwagę druga postać, Pokorski, fanatyk prawny. „Ja swoim wrogom przebaczam — powiada on — ale jak? W głębi duszy nie czuję urazy do nikogo, ale w czynie, żeby wiedzieli, że istnieje sprawiedliwość, staram się robić im źle... Alboż to lekko jest robić złe? To jest krzyż! Płaczę, a robię, dlatego, żem powinien..." Suchą literę prawa pópiera on jeszcze następującym aforyzmem: „Ludzie na ziemi azaliż to nie są środki, nie wykonawcy wyższych celów? A wyższe cele czemże są jeśli nie poprawą, ta zaś ostatnia — to kara złych." Dzięki takiemu pojęciu *wyższych celów* Pokorski nie miał przeszkód w swojej działalności i pomiataniu ludźmi. Do rzędu doskonalszych należy opowiadanie p. t. „Marya Michajłówna;" przesiąknięte ono nawskróś goryczą, a jest szeregiem spokojnych dramatów życia codziennego. Łamią się tu postacie ludzkie pod ciężarem niejakiejś siły potężnej, ale zwyczajnej niemocy, pod sztandarem przesądów. Są to typy w wielu utworach Krestowskiego przesuwające się, wszędzie zaś przysłonięte gazą żałobną.

Dalej następuje szereg nowych utworów: „Próba," „Któż został zadowolonym?", „Ostatni akt komedyi," „Swobodne czasy," „Baryton." I tu widzimy ten sam koloryt, co w przednich powieściach, z tą różnicą, że barwy nabierają większej siły, a do współczucia dla cierpiących dołącza się satyra, chociaż niezbyt silna. Wszystkie powyższe pisma są odzwierciedleniem przeszłości w przededniu reform społecznych, a i dziś jeszcze nie przebrzmiały, chociaż niektóre postacie w rzeczywistości zostały już pogrzebane.

Najważniejsza epoka twórczości Krestowskiego rozpoczyna się od r. 1860. W tym czasie talent już zupełnie dojrzał. Do wybitniejszych należą powieści: „Pensyonarka," „Spotkanie," „Woda stojąca," „Wielka niedźwiedzica," „Stary portret, nowy oryginał" i inne. Tu już wycieczek pobocznych spotykamy mniej, obrazy są traktowane przedmiotowo z wielkim zasobem spostrzeżeń głębokich, skutkiem czego idealizm ustąpił miejsca realizmowi, forma nabrała wielkiej ścisłości, język wykwintny i jędrny. Spotykamy już utwory, szczególnie mniejsze, z których nawet jednego wyrazu bez szkody usunąć nie można. Autorka dotyka nieraz tych stron życia, w których się lubuje Zola, ale zupełnie inaczej je traktuje, niż pisarz francuski. Tego rodzaju obrazy Krestowskiego są w półcieniu, ale pomimo to, również silne robią wrażenie, jak barwy jaskrawe twórcy „Nany."

„Pierwsza walka" jest jednym z utworów, najbardziej pognębiających czytelnika, a jednocześnie najwydatniej zarysowujących talent autorki. Sergiusz Mikołajewicz, bohater opowiadania, jest człowiekiem, w którym zamarło wszystko, co ludzkie; z lubością on sam maluje swoją nizkość; niesłychany to egoista, lekceważący wszelkie obowiązki względem swego otoczenia. Autorka ściągnęła na siebie oburzenie pewnej części społeczeństwa; posądzono ją, że obnaża współczucie dla takich bohaterów. Był to jednak tylko jej tryumf z przedmiotowego przedstawienia postaci. Powieściopisarka, dawniej subjektywna, wyszła tu zwycięzko z wielkich trudności. Szczytu dosięgła w powieści „Wielka niedźwiedzica" (r. 1870—71). I tu życie prowincyonalne, ale z nowszych czasów, jest wybornie odzwierciedlone. Żadnej postaci niema bladej, wszystkie z jednakową siłą działają na czytelnika. Po tym utworze następuje zwrot w twórczości Krestowskiego. Daje się ona zupełnie owładnąć teraźniejszością, pisze mniej, wszystko obrazki niewielkich rozmiarów, ale każdy z nich poświęcony sprawom, które najdotkliwiej dają się czuć społeczeństwu, chorobliwym warunkom bytu. Godzien uwagi jest obrazek p. t. „W sądzie," w którym wybornie naszkicowany kontrast powagi procesu z lekkim nastrojem obecnej publiczności. Oto króciutka z niego scenka: „Ławnow (obrońca) omylił się, rachując na przysięgłych. Oni nie czytali Dumasa-syna, nie rachowali drgnień sercowych, a przy tem bardzo się zmęczyli. Połowa ich niedawno skończyła na tem miejscu pięciodniowe posiedzenie z powodu innej, skomplikowanej sprawy. Nie zadawali pytań. Kupcy stękali od gorąca, innych zajmował skandalik; uśmiechali się. Ktoś nałożył „pince-nez," aby się lepiej przyjrzeć pani Kopyłow (żonie podsądnego). Włościanie słuchali ponuro, pogardliwie, obojętni na gwar opowiadań kobiecych, na ich łzy; pochyliwszy głowy, patrzyli na stół z *dowodami*." Obrońca występuje z mową. Krócej, krócej! — dolatuje głos z trybuny. Zmieszał się. Przygotował świetny wstęp i wszystko na nic; i krasomówstwo i sens uleciały. Tu się odbywa proces psychologiczny w jego umyśle. W jednej chwili znienawidził klienta swego; chciał mówić z zapałem, lecz wypowiedział szereg słów zimnych, bezładnych, banalnych. Wyzywające, sentymentalne spojrzenia kobiet, kłoły go. Sława na wieki zabita! Wszystko mu się zmąciło w głowie: mówił o skażeniu obyczajów, dotknął literatury, wieków średnich i nagle wzburzony zakończył poddaniem się łasce, wszystko przebaczającemu Stwórcy...

Krestowski przypomina w niektórych razach Niekrasowa. Nie znajdujemy takiego typu, któryby skupiał w sobie przeważające cechy znamienne i tym sposobem ściągał wyłącznie na siebie uwagę. Stąd żadna z postaci tej autorki nie będzie krążyć w tłumach, jako imię pospolite. Nie stworzyła ona Manfredów, Tartufów, Bazarowów, nie porywa nadzwyczajną wykwintnością formy, ale wstrząsa współczuciem dla cierpiących i napaja goryczą dla sprawców cierpień.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Na wystawę paryską. — Poty pieniężne. — Sympatyczna ambicya. — Porównywanie karasków z wielorybami. — Proces berliński i kradzież listów. — Jedyny środek leczniczy. — Zaczeplanie kobiet i pobłażliwość zwyczaju. — Złoty medal za zegarek.—Nadzieje na przyszłość.— Miasto i wieś.— Bezpłatny korepetytor. — Prośba o informacye.

Naród warszawski, który mógł wydać 60,000 rs. na grę w totalizatorze przy wyścigach konnych, ma za co wyjechać do wód, stacyj klimatycznych a przedewszystkiem — na wystawę paryską. Jestem przekonany, że gdyby kieszenie własne a bodaj nawet lichwiarskie pozwoliły, pewnego pięknego poranku około 300,000 warszawian stanęłoby u podnóża wieży Effla. Bo gdzie tylko jest sposobność do gapiówki — my pierwsi. A gapiówka obecnie w Paryżu — to nie wyścigi, nie regaty, nie persowie lub dahomejczycy. Tam wszystko razem znaleźć można, a przytem wieżę 300 metrową. Ile by to sprzedało się cnót, honorów, losów własnych i dzieci, aby tylko dostać pieniędzy na taką przyjemność! Ale chociaż kurs tych wszystkich wartości w roku bieżącym stoi podobno bardzo źle i chociaż lichwiarze wzbraniają się nabywać autografów wątpliwego znaczenia, mimo to — jak słychać — pofrunie od nas do Paryża dość liczne stado ptaków odlotnych. Lekko szacując, zapłacimy tym razem Francyi około 2 milionów rs. (liczę 7,000 osób po 300 rs.). Wypociwszy się tak obficie z pieniędzy, będziemy na jesień chudsi i lżejsi, co jest nader pożądanem ze względu na szybko potem następujący karnawał, w którym trzeba hulać i dostarczać materyału do sprawozdań *Kuryerom*.

Jednym z najsympatyczniejszych dla mnie rysów naszego społeczeństwa jest jego — że tak powiem — cywilizacyjna ambicya, nawet wtedy, gdy jest śmieszną. Ostatecznie przedstawiamy w świecie drobną garść biedaków, przeważnie ciemnych i niezaradnych, ale dumą i pretensyami moglibyśmy wydąć pychę wielkiego narodu. Objaw to — według mnie — wielkiej wartości, o ile dotyczy poważnych kierunków i dziedzin życia. Przypomina on owych żołnierzy, którzy umierali prostymi szeregowcami, ale każdy z nich nosił w tornistrze buławę marszałkowską. Występuje on ciągle. Pojechał ktoś z nas do Anglii i Francyi. Wróciwszy, staje na kazalnicy i prawi: Kochani rodacy, w porównaniu z ludźmi Zachodu jesteście barbarzyńcami; tam prawie wszyscy umieją czytać, pisma rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy, najmniejsze miasteczko posiada bibliotekę i najrozmaitsze stowarzyszenia, tam oddawna istnieją koleje elektryczne, elewatory, tam przybytki nauki są świątyniami, tam wszędzie bije tętno życia ludzkości, a u nas... u nas snują się mroki i mgły zakątka parafialnego. Ten kaznodzieja niema racyi, bo porównywa wieloryby z karaskami, ale bardzo dobrze, że tak mówi i że inni go słuchają bez śmiechu, przeciwnie, z przyznaniem słuszności. Dowodzi to bowiem, że społeczeństwo, chociaż ubogie, wstrzymane w rozwoju i spętane przesądami, czuje w sobie porywy i uzdolnienia do wyższej kultury, które zawsze są przewrzędną jej siłą. Gdyby ktoś nawet między nami westchnął z żalem, że nie możemy urządzić w Warszawie wystawy powsze-

chnej, wyglądałoby to tak, jak gdyby żałował, że nie zdobyliśmy się na własnego papieża, ale to ciągłe wspinanie się na palcach dla dorównania innym jest w pobudkach swoich szlachetnem i pocieszającem. Kiep żołnierz, który nie nosi w swym tornistrze buławy marszałkowskiej — powiedział Napoleon; kiep naród, który nie marzy o postępowaniu na czele ludzkości. Można to powtarzać tem zasadniej, że owo wspinanie się i podążanie nietylko podnieca siły społeczeństwa, ale daje mu często zdobycze realne.

Jeden z abonentów *Prawdy*, widocznie owładnięty manią ambicyi kulturalnej, pisze do nas: Czytam w gazetach sprawozdanie z procesu, wytoczonego w Berlinie, niejakiemu Degenerowi za otworzenie listu. Towarzysze jego, jadący razem z nim w pociągu,, zauważyli, że Degener przejrzał jeden list do światła, a następnie, nie domyślając się, że jest obserwowany, otworzył go, przeczytał i zakleił. Sąd za to skazał go na *cztery miesiące więzienia*. Cztery miesiące więzienia, chociaż list został adresatowi doręczony. U nas — mówi dalej korespondent — na prowincyi listy giną ciągle, masami i w znacznej mierze dlatego, że czyjaś złość, głupota lub lekkomyślność z niszczenia korespondencyi robi sobie zabawę. Wiecznie głodne plotkarstwo prowincyonalne, poszukujące żeru, czerpie go obficie z tego źródła, a tropiąc cudze tajemnice, wyrządza nieraz wielką krzywdę materyalną i moralną. Ileż to zawodów, strat i nieszczęść sprowadziła owa kradzież! Zawiadamiasz kogoś o chorobie istoty go obchodzącej, o ważnem zdarzeniu, interesie, o terminie sprawy sądowej — i przekonywasz się, że list wcale nie doszedł. Gdzie niema biur pocztowych, i gdzie nie istnieje korespondencya rekomendowana — grabież odbywa się na wielką skalę i całkiem bezkarnie. Czy na łowienie tych złodziejów nie będzie nigdy wynaleziona siatka? W każdym razie surowość sądów niemieckich powinna by tu służyć za przykład.

Tak twierdzi nasz korespondent i w zasadzie ma słuszność. Myli się tylko, przypuszczając możliwość wynalezienia owej „siatki:“ rzecz przechodząca przez lepkie ręce bez dowodu musi do nich od czasu do czasu przylgnąć. Istnieje na świecie jedna tylko siła, ubezpieczająca zwykłą korespondencyę prywatną: moralność tych, którym ona jest powierzaną, będąca odbiciem wysokiego poziomu moralności ogólnej. Nie potrzeba nas przekonywać: nikt lepiej nie rozumie tej klęski, niż redakcya, ustawicznie narażana na zatratę druków i listów. Ileż to razy każda odbiera cierpkie, czasem niegrzeczne wyrzuty od prenumeratorów za to, że nietylko nie wysłała jakiegoś numeru pisma lub książki, ale nawet nie uwzględniła reklamacyi: tymczasem ona je wysłała, a żadnej reklamacyi nie otrzymała. U nas jeszcze zwyczaj pozwala kraść psy, gołębie, kwiaty, panny, książki i listy, rozgrzeszając złodzieja, któremu nie przebaczonoby przywłaszczenia sobie cudzej bułki lub grosza. Że zaś prawie zawsze każdy wolałby stracić bułkę lub grosz, niż psa, kwiat, córkę, książkę lub list — to nie ulega wątpliwości. Zniesienie tej dyspensy i karanie tej grupy złodziejów na równi z innymi—zapewnie ograniczyłoby w pewnej mierze nadużycia, ale wykorzenić je zdoła tylko rozwój moralny społeczeństwa.

W Ameryce, gdyby mężczyzna odważył się zaczepić na ulicy przyzwoitą kobietę — powiada pewien wielbiciel yankee'ów — każdy przechodzący obywatel wziąłby go za kark i odprowadził do policyi. A u nas...

U nas jednakże tacy bohaterowie dostają się czasem do kozy, jak o tem znowu zawyrokował przed paru dniami jeden z sędziów pokoju. Ale są to wypadki dość rzadkie. Naprzód nasze niebianki, napadnięte przez łotra, wolą najhaniebniejszą jego zaczepkę połknąć i uciec, niż wezwać policyanta lub odwołać się o pomoc do przechodniów. Powtóre, obyczaj narodowy pobłaża takim zuchom. Kto zamknie przed nimi drzwi swego domu? Które pismo ogłosi ich nazwiska w sprawozdaniu sądowem, gdy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności? Pisze się: sędzia pokoju skazał p. X. na tydzień aresztu za „zrobienie pani Y. na ulicy nieprzyzwoitej propozycyi.“ Ale za to roztrębuje się imiona i nazwiska winowajców, którzy przeciążyli ładunkiem konia lub obrazili swego chlebodawcę. Zapewne, przy pomocy filozofii można wznieść się po nad „nieprzyzwoitą propozycyę“ i zetrzeć to błoto wzgardą, bo honoru uczciwej kobiety nie plami niecne słowo zuchwałego samca; ale ileż w tym tolerowanym zwyczaju tkwi obrazy człowieczego dostojeństwa kobiet wogóle? Za co je uważają mężczyzni, jeśli byle lubieżnik, wycieruch uliczny, byle pijaczyna i rozpustnik ma śmiałość zaczepić każdą, samotnie idącą? Jest w tych zaczepkach więcej zniewagi dla całego rodzaju ludzi, niż dla jednostki—i z tego względu powinny one być karane bardzo surowo przez opinię i sądy. Przepraszam — przez wychowanie. Nauczmy naszych synów poszanowania ludzkiej godności w kobiecie, a nie będą oni jej zaczepiali, opinia zaś i sądy nie będą potrzebowały ich poprawiać. W Ameryce... jak mówi mój znajomy. My nawet pod tym względem nieprędko dościgniemy amerykanów, ale już to wiele znaczy, że się z nimi porównywamy. Zawstydzając się ciągle takiem porównywaniem może kiedyś dojdziemy do tego, że pensyonarki będą same chodziły wieczorami po mieście, chociaż prawdopodobnie wówczas — również za przykładem Stanów Zjednoczonych — nie nagrodzimy na wystawie medalem złotym niewiasty, która... złożyła zegarek. Nażartowano i nadziwiono się z tego odznaczenia dosyć, więc nie będę dolewał do pełnej czary śmiechu. Mam bowiem nadzieję, że i z tego dziecińśtwa wyrośniemy wówczas, kiedy każda kobieta idąca przez ulicę przestanie być dla nas ponętą, a pracująca — bohaterką.

Chciałbym wszystkich, którzy nie „muszą“ wyjechać na wystawę paryską a mogą pojechać na wieś, wyprawić z zachmurzonej, zeschłej, szarej, niewonnej Warszawy, w której trzeba codzień zjadać pogłoski wojenne i zjełczałe dowcipy o pomyłce mera w odezwaniu się do panny młodej przy zawieraniu małżeństwa, anegdoty o wpływie głoski M. na losy Napoleonów i innych głupstw, które jedliśmy już przed 20 laty i które dziś przeżute i odgrzane spożywać musimy. Chciałbym, mówię, was, czytelnicy, wywieźć na pola, łąki i lasy, ale boję się skrzywić lub złamać kierunku *Prawdy*. Przeczytawszy bowiem w jednym z poprzednich numerów moją krótką modlitwę do natury, kronikarz *Niwy*, *homo sapiens*, a dla mnie *lupus facetus*, którego ruchów myśli żadna astronomia logiki obliczyć naprzód nie zdoła, wywnioskował, że przeniewierzyłem się „liberalizmowi mieszczańskiemu“ na korzyść... albo ja wiem czego? Jużci tego, co mieszka na wsi. Ach, kiedyż ja się nauczę tej tabliczki mnożenia, według której 2 razy 2 = Hektor; tak chciałbym zrozumieć moich bezpłatnych korepetytorów, skorzystać od nich, bo przecież dobrze mi życzą i nieźle o mnie trzymają, skoro mówią, że mam „zdolności.“ Kronikarz *Niwy* najwytrwalej chowa mnie w swej pieczy, a ponieważ niezawodnie dba o moje wykształcenie, więc go proszę, aby mi dokładniej wskazał, kiedy to *Prawda* głosiła „liberalizm mieszczański.“ Ponieważ już— według niego — tej ewangelii zapomniałem, a chciałbym ją sobie przypomnieć i odczytać w odnośnych numerach, więc... A może mój Mentor tak sobie tylko kichnął przeciw mnie? W takim razie niech mu będzie na zdrowie, jeżeli — jak utrzymują dzicy— zadąsana dusza do niego nosem wróciła.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Oświata. *Now. Wr.* donosi, iż fabrykanci łódzcy poczynili starania w ministeryum spraw wewnętrznych o utworzenie „Towarzystwa rozpowsnechnienia oświaty śród robotników.“ Według ustawy Towarzystwo ma na celu podniesienie stopnia wykształcenia robotników za pomocą odczytów popularnych, pogawędek naukowych, czytelni itd. Członkiem może być każdy rzemieślnik, wnoszący miesięcznie 25 kop. Instytucya ta zamierza nadto urządzić kasę oszczędności dla swych członków.

Straż leśna. Według *Graždanina*, w lasach, podlegających bezwarunkowej ochronie, istnieje projekt urządzenia straży leśnej, takiej jak w lasach rządowych.

Apteki. Z rozporządzenia departamentu medycznego, wszelkie umowy sprzedaży, dzierżaw lub zamian aptek odbywać się powinny z wiedzą właściwych urzędów lekarskich. Jednocześnie wzbroniono osobnego sprzedawania aptek filialnych, które istnieć mogą tylko przy normalnych.

Ustawa sanitarna z polecenia ministra komunikacyi ma być opracowana w departamencie dróg żelaznych i obowiązywać wszystkie koleje żelazne w całem państwie. Między innemi jest w projekcie, aby wśród oficyalistów kolejowych na każdej stacyi i o ile możności między konduktorami znajdowały się osobistości posiadające uzdolnienie felczerskie, za co pobierać mają dodatkową płacę.

Konkursy. Wydział krajowy Galicyi rozpisał konkurs z terminem 31 marca 1890 r na dwie nagrody z fundacyi Franciszka Kochmana, jedną 500, drugą 1,000 złr. dla dwóch najlepszych dzieł w języku polskim. Do współzawodnictwa mają prawo stawać wszyscy literaci polscy, bez względu pod jakim są rządem, z wszelkiego rodzaju utworami, z wyjątkiem tylko dzieł treści religijnej i teologicznej. Mogą to być utwory autorów żyjących jak i zmarłych; w tym ostatnim razie z zastrzeżeniem, że jeśli to są dzieła już drukowane za życia autora, to tylko w ciągu trzech pierwszych lat służy im prawo do konkursu, jeśli nie są drukowane, to przyznana im nagroda przedewszystkiem na wydrukowanie dzieła użytą być powinna. Autorowie żyjący zgłaszać się powinni jedynie z utworami już drukowanymi. Ogłoszone drukiem przed r. 1880, nie będą przyjmowane. Własność nagrodzonego dzieła służy autorowi nadal.

— Akademia królewska nauk moralnych i politycznych (Real Academia de Ciencias Morales y Politicas) w Madrycie przesłała do warszawskiego konsulatu hiszpańskiego program ogłoszonego przez nią konkursu na r. 1890, zawierającego dwa zadania: 1) pogląd krytyczny ze stanowiska prawa karnego na stopniowanie kar i różnice między niemi w kodeksach europejskich; 2) postęp lub upadek handlu międzynarodowego wskutek dobrej lub złej wiary przy przedstawianiu towarów na rynkach zagranicznych, oraz czy rządy mogą wywierać wpływ na handel wywozowy i w jakiej formie, aby utrzymać kredyt swojego kraju co do wytwarzanych przezeń wszystkich lub niektórych towarów. Warunki: autor najlepszej rozprawy otrzyma medal srebrny i 2,500 fr. w złocie, oraz 200 egzemplarzy tejże rozprawy, wydrukowanej kosztem Akademii. Druga z odznaczonych rozpraw również będzie wydrukowana kosztem Akademii, autor zaś otrzyma dyplom i 200 egzemplarzy. Rozprawy mogą być pisane w językach: hiszpańskim, łacińskim, portugalskim, francuskim, włoskim, angielskim i niemieckim. Każda z nich nie powinna być obszerniejszą nad 500 str. druku. Najpóźniejszy termin 1 października 1890 r. Bliższych objaśnień udziela sekretarz Akademii w Madrycie. (Chociaż pewnie się nie utrudzi. *Red.*).

Taryfy. Tutejsze koleje żelazne otrzymały w tych dniach od departamentu dróg żelaznych rozporządzenia z poleceniem, aby od 13 września na zasadzie mających wkrótce nastąpić zmian w taryfach dróg Królestwa Polskiego, wszystkie taryfy w komunikacyi bezpośredniej z drogami zagranicznemi (pruskiemi i austryackiemi) zostały również zmienione. Projekty nowych taryf wkrótce mają być przedstawione do zatwierdzenia ministeryum.

Dom pracy im. Staszica za rogatką Wolską będzie otwarty 1 października r. b.

Wakacye letnie rozpoczęły się we wszystkich zakładach naukowych.

Wybrani przez nową Radę zarządzającą kolei Warsz.-Wiedeńskiej: p. Gołowin prezesem, a pp. Święcicki i Luboradzki wiceprezesami, nie zostali zatwierdzeni przez ministeryum.

Popisy. W Instytucie głuchoniemych i ociemniałych odbył się w ubiegłym tygodniu popis i zakończenie roku szkolnego.

— W Instytucie muzycznym odbył się w ubiegłym tygodniu popis uczniów i uczenic.

Szkoły. Minister oświaty ponowił rozporządzenie, z mocy którego uczniom żydom nie wolno przechodzić z jednego zakładu do drugiego, o ile to narusza stosunek procentowy. Wyjątek stanowią tylko uczniowie-żydzi, kończący kurs w progimnazyach.

— Wydano Najwyższe rozporządzenie, na mocy którego egzaminy do klasy I-ej nietylko gimnazyów i progimnazyów, lecz nadto do szkół realnych, odbywać się będą w maju.

— Na wzór zakładów angielskich i niemieckich, otwarta będzie w Mitawie szkoła przemysłowo-rzemieślnicza dla kobiet, w której oprócz rzemiosł właściwych będą wykładane: języki nowożytne, buchhalterya, rysunki, pranie i kucharstwo.

Prawa szlachty. Na odbywających się w Petersburgu naradach w sprawach kraju nadbałtyckiego, postanowiono zrównać prawa szlachty powyższej prowincyi z prawami szlachty w Cesarstwie.

Departament medyczny pozwolił na odbywanie w Warszawie praktyki kobietom w izbach felczerskich, w celu otrzymania następnie stopnia felczerskiego.

Mleczarstwo. Od dawna poruszony projekt będzie uskuteczniony. Departament rolnictwa i przemysłu wiejskiego postanowił wprowadzić system przygotowania specyalistów w mleczarstwie, drogą praktycznego nauczania kandydatów w gospodarstwach wzorowych, przyczem tym ostatnim wydawane będą środki na zapłacenie nauczycieli, oraz wynagrodzenie za każdego kształcącego się. Jednocześnie będzie otwarte praktyczne laboratoryum mleczarstwa.

Towarzystwo oświaty ludowej w Krakowie odbyło w tych dniach doroczne walne zgromadzenie. Czytelni i wypożyczalni książek (bezpłatnych) założono w r. z. nowych 37; ogólna liczba czytelni doszła do 152. We wszystkich czytelniach jest 20,458 dzieł, wartości 5,600 złr.

Pożary. Miasto Ostrog na Wołyniu spłonęło. Straty wynoszą kilka milionów rubli. Ludzie koczują pod gołem niebem.

— Miast Kretynga w pow. rowieńskim, gub. kowieńskiej, spłonęło do szczętu. Pożar zniszczył przeszło 600 domów, w tem kilkadziesiąt murowonych. Straty obliczają na miliony.

— W Podhajcach we wschodniej Galicyi pożar zniszczył mienie 850 rodzin. Bez dachu i chleba zostało 2,788 osób. Strata materyalna przeszło milion złr.

Operacya. Profesor uniwersytetu padewskiego, Gravenigo, dokonał w tych czasach nadzwyczaj ciekawej operacyi. Zaszczepił na oku ludzkiem rogówkę z oka kurczęcia. Operacya udała się zupełnie.

Bibliografia. M. Wołowski, *Alcybiades*, fragment dramatyczny w 1 akcie, str. 53. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, z rycinami Andriollego, zeszyt 5, Lwów.

— *Prace filologiczne*, tom III, zeszyt 1.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Hasp. Za dużo frazeologii — czasem ładnej, często słusznej, ale beztreściwej.

Doktorowi (homeopatyi?) J. Drzewieckiemu. Nieokrzesanym listem uwiadamiasz Pan nas, żeś napisał „surową krytykę metody Pasteura“ w *Medic. Record.* Jesteśmy mocno zaciekawieni, a o Pasteura zaniepokojeni, gdyż znając pańską piorunującą szybkość w rozstrzyganiu najtrudniejszych zagadnień wiedzy i pamiętając, że kilka tygodni wystarczyło Panu do poznania nicości aleopatyi, a „boskości“ homeopatyi, przypuszczamy, że i to objawienie jest również olśniewającem i godnem poprzedniego. Gdyby wszakże przyszła Panu jeszcze kiedykolwiek ochota donieślenia nam o swych genialnych odkryciach i natchnieniach, prosimy i radzimy, ażebyś Pan nie używał w listach takich dawek niegrzeczności, jak dawniej sałolu i pozostał również w zuchwalstwie... homeopatą.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Sprostowanie. W poprzednim nr. *Prawdy*, na str. 290, szp. 1, w. 5, zamiast „*się* uważają,“ czytać należy: „*ich* uważają.“

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłom. K Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmysłowość i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

A. Świętochowski. **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 k. 50.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — k. 50.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w 3 aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20, z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Іюня 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.